

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENNY

Wychodzi co tydzień

Dnia 17-go marca 1945r.

Rok VII. Nr. 11

KONIEC WIDOWISKA

“Przyszły tydzień rozstrzygnie o tym, czy szyć twoja kryć będzie kolarzyk czy stryżek... O Boże! Czyż cierpieliśmy na próżno w ciągu tych pięciu ciężkich lat wojny, pełnej smutku, śmierci, straconego majątku, straconej krwi? Grób twój, bracie, na nic? Twoje złamane serce, matko, na nic? Twoje białe włosy, ojciec, na nic?”

“Koelnische Zeitung”, 28.I.1945

Tak dziś piszą ci, którzy byli pewni zawojowania całego świata.

WCZORAJ BYŁO INACZEJ

Kilka zaledwie lat temu kierownicy Trzeciej Rzeszy wysłali się na jak najwspanialsze urządzenie uroczystości partii narodowo socjalistycznej. Parlament marionetek nazistowskich zbierał się w bogato dekorowanej sali opery Krolla w Berlinie. Posiedzenia Reichstagu były teatralne. Wieczorne apele na norymberskim stadionie, w czasie wrześniejących, corocznych zjazdów partii odbywały się pod namiotem tysięcy, w górę strzelanych promieni reflektorów. W każdym mieście niemieckim, przy każdej okazji miała widać oczarowywać czerwień tysięcy sztandarów, miał ogłupiać dźwięk kilkunastu orkiestr, miały oszalać ryki megafonów. Nowostawiane budynki państwowe przygryzały szarego człowieka niemieckiej ulicy rozmiarami swych fasad. Małe samochody pasażerskie gubiły się, jak w potężnej fali, w rozpiętości cementowych autostrad. Obywatel Trzeciej Rzeszy mógł się czuć w tym samotny i bezradny, miał zaś stać się bezwolny, więc — posłuszny. I Niemcom to się podobało!

W Norymberdze, w 1936 roku, zagadaniem po defiladzie oddziałów S.A., trwającej kilka godzin, jednego z jej uczestników, grubego *Oberscharführera*:

— Jak Pan zadowolony z deflady?

— Wspaniale! Tylko szkoda, żeśmy na dwie godziny przed defladą nie odbyli marszu próbnego. Nasz oddział mógłby wtedy prezentować się jeszcze lepiej.

Oddziały ustawiały się do deflady o szóstej rano. Amator marszu próbnego... o czwartej rano — był profesorem łaciny w gimnazjum w Kolonii.

PRZYGOTOWYWANIE DO ŚMIERCY SAMOBÓJCZEJ

Kierownictwo Trzeciej Rzeszy przygotowuje od kilku ostatnich miesięcy miłośników próbnego marszów i cały naród niemiecki do ostatniego aktu nazistowskiego widowiska — do kłęski. Można nie wątpić, że reżyseria będzie *kolossal*, w stylu oper Wagnera, tak ukochanych przez samego Führera.

Jednemu z korespondentów szwedzkich zawiadzamy bardzo trafną uwagę o zmianie taktyki hitlerowskiej góry w oddziaływaniu na masę niemiecką. Porażek i kłęk nie tłumaczy się, przeciwnie przedstawia się je w jak najbardziej tragicznej formie. Propaganda o “tajnych” broniach i nowych wynalazkach wojennych, które miały w ostatniej chwili uratować Niemcy, zesłała w cień. Zamiast tego wzywa się masę niemiecką do wytrwania, do największych poświęceń i rzucania się na wroga z rozpaczliwym użyciem każdej broni. W mowie z 30 stycznia b.r. Hitler rozkazywał:

“Oczekuję, że każdy zdrowy człowiek będzie szedł w bój duszą i ciałem. Oczekuję, że każdy chory i u-

tomny będzie pracował ciężko i wyczeranie oraz, że odda ostatnie resztki sił, bez oszczędzania siebie”.

25 lutego bieżącego roku radio niemieckie nawoływało:

“Inwalidzi wojenni! Armia potrzebuje waszego bojowego doświadczenia. Wracajcie do szeregów! Musicie wzmocnić naszą siłę zbrojną wszystkim najlepszym w was, do granic waszych możliwości”.

Jeden z powiatowych szefów partii w Nadrenii zwrócił się do podkomendnych z takim oto apelem:

“Nie ma chorób! Od służby w *Volkssturmie* uwalnia tylko śmierć. Poza tym jest jeszcze trochę miejsca w więzieniach”.

Hitler rozesłał rozkazy do *Gauleiterów* we wschodnich Niemczech, wzywając do wytrwania na stanowiskach aż do śmierci. Ucieszyliśmy się, gdy dzięki temu Bracht ze Śląska, Greiser z Wielkopolski, Forster z Gdańska i Koch z Prus Wschodnich zostaną zagarnięci przez wojska rosyjskie i będą mogli bez zwłoki stanąć przed sądem za swe zbrodnie. W niezwykle długiej mowie radiowej Goebbels zapowiadał w lutym, że najwyższe szczyty partii — polegą wraz z ostatnimi żołnierzami niemieckimi na ostatnich okopach.

ROZKŁAD ŻYCIA

A obecna sytuacja Niemiec rzeczywiście zapowiada już koniec. W “*Neue Zürcher Zeitung*” w lutym ukazało się kilka artykułów sprawozdawczych wielu nacończych świadków o tym, co się dziś dzieje wewnątrz Rzeszy.

Kolejowa komunikacja pasażerska w Niemczech prawie nie istnieje. Pociągi chodzą bez planu, podróżować właściwie można pewnie tylko od stacji do stacji. Dworce i perony zawałone są uciekinierami ze wschodu i z zachodu. Uderza głuche milczenie tej bezradnej masy, nie znającej celu podróży. Na ulicach większych, bombardowanych miast gruz, kurz i bałagan.

W wielu miastach godzinami całymi nie ma prądu elektrycznego, ani gazu. W Berlinie elektryczność jest często włączana tylko w czasie alarmów lotniczych. Prąd wtedy jest potrzebny dla uruchomienia syren i przekazywania telegraficznie rozkazów. Jak pisze szwajcarska “*Die Tat*”, powstała niebywała sytuacja, że wiele gospodyń oczekuje alarmów lotniczych jak zbawienia, aby móc szybko ugotować ciepłą strawę na piecyku elektrycznym. Z braku węgla nie można korzystać ze zwykłych pieców kuchennych.

WIDMO GŁODU

Zbiorowe żywienie ludności, pozbawionej dachu nad głową, przybiera w wielu miejscowościach charakter stały. “*Essener National Zeitung*” wspomina, nie podając nazwy miejscowości, że jakaś restauracja dworcowa musiała — na zarządzenie władz — wyżyć jednego dnia na otwartym powietrzu 52 tysiące ludzi, a innego dnia wydać jedzenie dla 88.000 rannych.

Inna gazeta niemiecka zaznacza, że mimo usprawnienia akcji zbiorowego żywienia ludności dotychczasowa organizacja już nie spełnia zadania. Potrzeby są zbyt wielkie. Racje żywności zostały w marcu znowu zmniejszone. Szczególnie daje się odczuwać wielki brak kartofli. Neutralni obserwatorzy zapowiadają kryzys aprowizacyjny Niemiec na koniec

kwietnia. Wiadomo — przedówek, a śpichlerze Rzeszy na niemieckim wschodzie znajdują się już w rękach nieprzyjaciela. Trzeba jednak stwierdzić, że do końca 1944 roku aprowizacja Rzeszy funkcjonowała lepiej, niż w ostatnich latach Pierwszej Wojny Światowej.

WALKA DO OSTATKA

Wszystko to nie znaczy, że reżim nazistowski gotów jest zrezygnować z dalszej walki. Przeciwnie! Robi się wszystko, aby dalej walczyć, dalej stawiać opór i dalej zadawać straty nieprzyjacielowi. Oczywiście, że — z a d a w a ć tylko straty, bo do większego wysiłku ofensywnego Niemcy już nie są zdolne.

Kierownictwo Trzeciej Rzeszy wyznaje bowiem zasadę, iż póki Niemcy nie złożą broni, wojna nie jest przegrana i można liczyć — na nieprzewidziane wypadki, które jednak w końcu Trzecią Rzeszę uratują. Trudno było by udowodnić na czym oni budują to “przekonanie. Wytłumaczenie najbliższe prawdy daje okoliczność, że narodowy socjalizm nie ma innego wyjścia, tylko bronić się do ostatka, jak bandyta w samotnym domu, osaczony przez zwarte oddziały policji.

Goebbels pisał więc w “*Das Reich*”:

“Wojna jest wtedy przegrana, gdy naród i jego kierownicy uznają się za pokonanych. Jak długo wojna trwa, wszystko jest jeszcze do odrobienia”.

W myśl tego założenia “*Kraukauer Zeitung*” pisała w końcu grudnia 1944 roku, że żadna ofensywa rosyjska z nad Wisły się nie uda. W myśl tego założenia prasa na zachodzie Niemiec w styczniu i lutym zapewniała, że noga nieprzyjaciela nie przestąpi Renu. Nadzieje te — jak widzimy — nie spełniły się. Niemcy dziś nie narzucają swych inicjatyw militarnych innym, to ich przeciwnicy mają inicjatywę.

ARMIA NIEMIECKA PO R. 1918 I DZIS

Opór niemiecki jednak trwa a organizacyjnym jego mózgiem jest Himmler, który zrobił wszystko, aby władza nie wymknęła się hitlerystom z garści.

Najistotniejsze zmiany zaszły w ostatnich miesiącach w organizacji armii niemieckiej. Tu przede wszystkim przejawiało się dążenie Himmlera, aby wojsko niemieckie, *Wehrmacht*, które w 1918 potrafiło doprowadzić wbrew cesarzowi swą własną politykę, tym razem do ostatniej chwili pozostało powolnym instrumentem reżimu. Jak to osiągnięto? Żeby wytłumaczenie było jasne trzeba przypomnieć trochę historii. Zbyt to ważna sprawa, by ją zbywać ogólnikami!

W listopadzie 1918 r. wydawało się światu, że przegrana wojna i rewolucja w Niemczech zmiecie z powierzchni dumny twór armii niemieckiej. Stało się inaczej. Na ulicy tłumy zrywały oficerom epolety, ale w czasach ministerialnych gabinetów nowi socjalistyczni ministrowie konferowali z wyorderowanymi generalami cesarza. Uchwała wydziału wykonawczego Rady Robotników i Żołnierzy z dnia 13 listopada 1918 r. wypowiedziała się przeciw tworzeniu milicji rewolucyjnej i za oparciem się Republiki niemieckiej o dawną armię. Uchwała ta

poza faktycznym utrzymaniem dawnych tradycji wojskowych Prus i cesarskiej Rzeszy wywarła na społeczeństwo niemieckie duży wpływ — moralny. Umocniła szeregzone wówczas przez sztab niemiecki mniemanie, że żołnierz niemiecki zeszedł z pola bitwy niepokonany. Szary człowiek niemieckiej ulicy ze wstydem myślał o chwili słabości, gdy podnosił rękę na oficerski epolet.

Republikańscy ministrowie spraw wojskowych Rzeszy Wejmarskiej — socjalista Noske i demokrat Gessler — nie przeprowadzili w armii niemieckiej żadnych zmian osobowych. Armią kierował nadal cesarski duch jej wyższych dowódców. Programy partyjno-polityczne i nastawienie demokratyczne nie przeniknęły w jej szeregi, stała się ona ośrodkiem dążeń odwetowych i ostoją szowinizmu. Dowództwo armii niemieckiej utrzymywało też stałą łączność ze wszystkimi skrajnymi ugrupowaniami pravicowymi, popierało nacjonalistyczne organizacje i pokrywało swą powagą ich nielegalną działalność.

UDZIAŁ “WEHRMACHTU” W DOJŚCIU HITLERA DO WŁADZY

Tak też zaczęły się kontakty armii niemieckiej z ząbkującym ruchem narodowo-socjalistycznym, który dzięki pomocy wielkiego przemysłu niemieckiego i junkrów szybko wyrósł na dryblas, wymachującego pałką i żądzą władzy. Dochodzenie do władzy nie przychodziło Hitlerowi łatwo. Była w 1932 r. chwila, gdy zanosilo się na rozlecenie partii nazistowskiej. Hitler oświadczył wtedy Goebbelsowi:

— Jeżeli partia się rozleci, w trzy minuty zakończę rewolwem swoje życie.

Były chwile, gdy Hitler wobec narastających trudności płakał na zebraniach najwyższych dostojników partyjnych. W ostatecznym doświadczeniu do władzy dopomogła mu jednak w końcu armia i generałowie. Hitler odwdzięczył im się zamordowaniem swego najbliższego przyjaciela Roehma, gdy Roehm jako naczelny szef S.A. postanowił doprowadzić do zespolenia armii z formacjami partii narodowo-socjalistycznej i podporządkowania wszystkiego co w Niemczech nosiło broń i mundur naczelnemu sztabowi S.A. Hitler odwdzięczył się generałom artykułem 26 ustawy o niemieckich siłach zbrojnych z dnia 21 maja 1935 roku. Artykuł ten wyraźnie przewidywał, że:

“Żołnierze nie mogą zajmować się polityką. Na okres czynnej służby wojskowej przynależność do partii narodowo-socjalistycznej, lub do którejkolwiek z jej przybudówek ulega tymczasowemu zawieszeniu... Minister wojny może urzędników wojskowych i zatrudnione przez wojsko osoby prywatnie, jeżeli wymaga tego wojskowa konieczność, poddać postanowieniom tego paragrafu”.

W zamian za to generałowie pierwsi uznali Hitlera za g'owę państwa po śmierci starego Hindenburga.

ARMIA JAKO CZEŚĆ PARTII HITLEROWSKIEJ

Od lipca 1944 roku w stosunku partii i państwa do armii niemieckiej zaszły zdecydowane zmiany. Po lipcowym zamachu na Hitlera Himmler wprowadził w szeregi generałów starej szkoły wielu nowych generałów S.S. o przeszłości nie tylko często ciemnej, ale i do-

bitnie znaczonej bezwzględny oddaniem ideałom narodowo-socjalistycznym i bezwzględny posłuszeństwem dla każdego rozkazu szefa *Gestapo*. W październiku 1944 roku dekretem Hitlera zniesiono artykuł 26 wspomnianej uprzednio niemieckiej ustawy o siłach zbrojnych. Żołnierze niemieccy i oficerowie zachowują odtąd, mimo bytności w szeregach, przynależność do partii nazistowskiej i zobowiązują się być wierni jej założeniom programowym. Żołnierze-członkowie partii zachowują nadal, będąc w wojsku, swoje stanowiska partyjne i pełnią nadal partyjne funkcje.

Sens tego zarządzenia jest jasny. Armia niemiecka stała się nieczym innym, jak jedną z partyjnych formacji. *Gleichschaltung* stosunków w Rzeszy została dokonana. Armia pruska, dumny twór Fryderyków, przestała istnieć. Partia ma odtąd trzy człony formacji uzbrojonych: S.A., S.S. i *Wehrmacht*. Generałowie niemieccy nie są niezależnym czynnikiem w stosunkach politycznych Rzeszy, jak w listopadzie 1918 r., są funkcjonariuszami partii.

NIEMCY W NIEWOLI I NIEWOLNICY NIEMIECCY OCZEKUJĄCY WOLNOŚCI

Himmler, jako główny reżyser kłęski Niemiec, zyskał więc pełną kontrolę nad armią. Resztki swobody ruchu, jaką miało jeszcze społeczeństwo niemieckie, zostały mu odebrane ustanowieniem *Volkssturmu*, w październiku zeszłego roku. Mężczyźni i chłopcy, którzy jeszcze nie znaleźli się dotąd w szeregach wojskowych, zostali zaszeregowani do oddziałów tej ostatniej z formacji hitlerowskich. Walczą, idą do niewoli i umierają często w ubraniach cywilnych, gdyż brak dla nich mundurów. Część tych oddziałów pełni straż bezpieczeństwa wewnątrz Niemiec. Wszyscy jednak są trzymani dyscypliną wojskową i niech spróbują — robić opozycję!

Takich, którzy śmiały narzekać, słuchać radia cudzoziemskiego, czy w inny sposób uchylać się od posłuchu — reżim tępi z energią potrojoną w stosunku do tego, co było dawniej. Egzekucje w Niemczech się zwiększają. Społeczeństwo posępnieje.

I tylko masy robotników cudzoziemskich, stanowiące charakterystyczną cechę dzisiejszej niemieckiej ulicy, wydają się pewniejsze siebie, bo oczekują końca swej niewoli. Dorzućmy nadto, że według “*Neue Zürcher Zeitung*” już dziś w Berlinie przeważa język rosyjski, a mówią nim nie tylko robotnicy i jeńcy, lecz nawet oficerowie i żołnierze S.S., gdyż S.S. przestała już dawno być elitą “germańskiej krwi”, dużo dziś w niej cudzoziemców, przemocą w ten mundur włoczonych.

Do czego doprowadzi Niemcy fanatyzm przetrwania, nie wiemy, domyślamy się tylko. Jedno zaczyna być prawdopodobne, że do ostatniej kłęski wszyscy Niemcy pójdą zespoleni i zdyscyplinowani, jak na paradę w — Norymberdze. Czy jednak z tym samym przekonaniem? Czy mój rozmówca z Kolonii, profesor łaciny, marzy i dziś jeszcze o krótkiej, dwugodzinnej próbie *Parademarsch'u* w niewole, żeby efekt był większy?

11 marca

JÓZEF WINIEWICZ

REN PRZEKROCZONY

Sukcesy sojusznicze w ostatnim tygodniu przeszły najśmielsze oczekiwania. Sforsowanie Renu nie odbyło się "zgodnie z planem": żaden plan nie mógł przewidywać, że nieprzyjacieli podaruje Sojusznikom most na rzece, zaoszczędzając częściowo /bo rzeka musi być sforsowana nie w jednym, ale w kilku punktach/ ciężkiej walki o przeprawę. Niemcy tłumaczyli, że most pozostał nietknięty "przez pomyłkę". Prawdopodobnie przyczyną szukano w stanie ogólnej dezorganizacji wojsk niemieckich, zwłaszcza w tym rejonie, chociaż nie można całkiem wykluczyć i możliwości jakiejś zdrady; mnożą się doniesienia o rozkładzie wśród dużej części wojska niemieckiego, o masowym poddawaniu się i ostatecznym załamaniu się wiary w celowość dalszej walki. Są oczywiście jeszcze oddziały niemieckie, które biją się z dawnym fanatyzmem; tak n.p. walczyli spadochroniarze niemieccy na przyczółku pod Wesel. Jedynym wynikiem była jednak tylko tym większa ich masakra.

Ten ostatni przyczółek niemiecki między Arnhem, a Koblenca został już zlikwidowany i na całej tej przestrzeni wojska sojusznicze zajmują zachodni brzeg Renu, mając ponadto coraz silniejsze przedmoście koło Remagen. Von Rundstedt właściwie nie próbował utrzymać jakichkolwiek przyczółków na zachodnim brzegu w rodzaju tych, które nadal Niemcy trzymają na wschodnim brzegu Odry. Oddał prawie bez walki ruiny Kolonii i pół tuzina innych dużych miast. Za tę cenę wycofał sporą część swych sił za rzekę. Warunki atmosferyczne raczej sprzyjały Niemcom, uniemożliwiając czasowe bombardowanie przepraw. Nie mniej straty były bardzo ciężkie. Ocenia się je raczej zbyt nisko na 150.000 ludzi, co wynosi około jednej piątej całości sił niemieckich na froncie zachodnim. Jest to z pewnością więcej, niż Niemcy mogą sobie dziś pozwolić.

Po drugiej stronie Sojusznicy, którzy uchwycili przedmoście na Renie niemal bez strat, choć normalnie musieliby zań zapłacić dużą cenę we krwi, mają w odwodzie dwie armie. Wciąż jeszcze nie weszła do akcji 2 armia brytyjska, ponadto zaś ujawniono, że zgrupowanie gen. Bradley'a obejmujące 1 i 3 armie amerykańską powiększyło się o jeszcze jedną — 15 armie. Do ostatecznej bitwy na zachodzie Sojusznicy będą mogli rzucić więc poważne, świeże siły.

Niewątpliwie nie zadowolnią się oni owym jednym podarowanym przedmościem, lecz podejmą próbę sforsowania rzeki w innych punktach, dalej na północ. Najprawdopodobniej nie będą uderzali frontalnie na Ruhre, gdyż wszystkie doświadczenia obecnej wojny od oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 począwszy poprzez Stalingrad, drugą bitwę warszawską, Akwizgran — i na Budapeszcie skończywszy — ucza jak trudno jest zdobyć zabudowane obszary miejskie. Ruhra byłaby z pewnością ciężkim orzechem do

zgrzyzenia. Dlatego też można przewidywać obójście jej od północy, gdzie równinny teren sprzyja rozwinięciu broni pancernej. Było by to wdzienne pole do popisu dla 2 armii brytyjskiej, szczególnie silnej, jeśli chodzi o broń pancerną. Możliwe jest także obójście Ruhry od południa, aczkolwiek im dalej na południe, tym teren jest trudniejszy.

Oczywiście istnienie przedmościa koło Remagen może spowodować zmiany w planach sojuszniczych. Jest to okazja, która musi być w pełni wykorzystana i która z pewnością poważnie skróci wojnę.

GDAŃSK I SZCZECIN

Na froncie wschodnim ostatni tydzień stał pod znakiem szybkiego opanowania Pomorza. Siły Rokossowskiego i Żukowa niemal całkowicie oczyściły z Niemców Pomorze niemieckie i polskie. W rękach niemieckich pozostają już tylko porty, przede wszystkim Gdańsk i Gdynia, które jednak są w najwyższym stopniu zagrożone, podobnie zresztą jak i Szczecin.

Czy Niemcy bronić będą tych miast tak zaciekle, jak bronią Królewcę? Czy też raczej będą się starać wywakuować jak najwięcej wojsk dla odtworzenia jakichś takich odwodów? Biorąc pod uwagę ich panowanie na Bałtyku, to ostatnie jest rzeczą możliwą. Zresztą wydaje się, że pewne siły wycofali na czas korytarzem nadmorskim, gdyż Rosjanie nie chwala się dużymi ilościami jeńców. W każdym razie wynikiem tego podboju Pomorza będzie zwolnienie dużych sił rosyjskich do ofensywy na Berlin, jak również ostateczne zlikwidowanie wszelkiej groźby dla prawego skrzydła armii Żukowa.

Wszystko to każe oczekiwać rychłego wznowienia ofensywy w kierunku stolicy Rzeszy. Już przed paroma dniami prasa doniosła o wznowieniu tej ofensywy, ale wiadomości na ten temat były przedwczesne. Żukow w dalszym ciągu walczy o solidne przyczółki na Odrze. Miał już kilka przed paroma tygodniami, ale widocznie utracił je, skoro ostatnio zno-

wu doniesienia mówiły o przejściu Odry w marszu na Berlin.

OSTATNIA REDUTA

Może najbardziej zmiennym rysem sytuacji na froncie wschodnim jest fakt, że Niemcy wciąż jeszcze atakują na Węgrzech, odnosząc przy tym nawet pewne sukcesy. Jakimś celem to poświęcanie wyborowych sił pancernych na Węgrzech, podczas gdy brak jest wojska dla trzymania Renu czy Odry? Logicznego wytłumaczenia tej zagadki nie można znaleźć. Nawet bowiem plan ostatecznej obrony twierdzy górskiej obejmującej Austrię, Czechy i Bawarię, nie wymaga trzymania linii tak bardzo wysuniętej w głąb Węgier.

W każdym razie plany tej wewnętrznej reduuty rysują się coraz bardziej. Napływają wiadomości o gromadzeniu zapasów wszelkiego rodzaju na terenie Austrii i sąsiednich obszarów górskich. Obronę tej reduuty Hitler miał powierzyć austriackiemu generałowi pochodzącego chorwackiego Rendulicowi, specjalście od wojny górskiej.

Trudno oczywiście przewidzieć, jak długo Niemcy będą mogli się bronić w tej ostatniej reducie. W każdym razie wcześniej jest jeszcze na uroczystości zwycięstwa, do których przygotowują się stolicy Zachodu. Zorganizowana obrona może oczywiście załamać się wcale szybko. Ale nie będzie to jeszcze koniec wojny w Europie.

Hitler raz jeszcze zapewnił, że nie powtórzy się rok 1918 i nie ma powodu mu nie wierzyć. Kapitulacji takiej, jaka nastąpiła 11 listopada 1918, napewno nie będzie, gdyż po prostu nie ma komu jej dokonać. I nawet gdy wojska sojusznicze spotkają się z Rosjanami gdzieś pośrodku Rzeszy, walka nie będzie skończona.

Nie należy się łudzić, by zadanie, które czekać będzie Sojuszników w miarę posuwania się w głąb Rzeszy było łatwe. Wojska alianckie zdobywają kraj w stanie zupełnego chaosu, kraj straszliwie zniszczony i pozbawiony wszelkiej władzy. Jedną z nadziei Hitlera jest z pewno-

ścią to, że Sojusznicy nie zdołają sobie dać rady z sytuacją, że się będą obawiali zwycięstwa komunizmu i że w rezultacie pójdą na jakiś kompromis z narodowym socjalizmem. Są to oczywiście złudne rachuby. Sojusznicy być może nie zdołają uporać się z różnymi trudnościami na terenach okupowanych, ale wynikiem będzie tylko jeszcze większa katastrofa narodu niemieckiego.

RUMUŃSKA PRÓBA

Losy Niemiec w najbliższej przyszłości zapowiadają się ponuro. Ale losy krajów Europy środkowo-wschodniej również wyglądają nie-wesoło. Wszystkim im grozi coraz wyraźniej dyktatura grup komunistycznych.

Pod tym względem sytuacja we wszystkich krajach czy to sojuszniczych, jak Polska, Czechosłowacja lub Jugosławia, czy też do niedawna nieprzyjacielskich, jak Rumunia, wykazuje wielkie podobieństwo. Wszędzie komunizm — w tej czy w innej formie — sięgają po władzę. Wszędzie pozornie gotowi są dzielić się nią z innymi ugrupowaniami, ale wszędzie usiłują zachować w swym ręku kluczowe pozycje, w szczególności wojsko i sprawy wewnętrzne. W ten sposób zapewniają sobie istotną kontrolę poszczególnych państw, osiagają rozstrzygający wpływ na wybory, które mają się odbyć w przyszłości i wnoszą fundamente pod stworzenie nowych republik sowieckich.

Osiągnęli już swój cel całkowicie w Rumunii i w Jugosławii. Nowy rząd rumuński jest całkowicie przez nich kontrolowany. Nowy rząd jugosłowiański z Tito na czele, choć zasiadają w nim politycy demokratyczni, jest jednak również w rękach komunistów.

Sprawa rumuńska jest bodaj szczególnie zmienna. Przed dwoma tygodniami wspominaliśmy na tym miejscu, że Rumunia może się stać pierwszą próbą polityki krymskiej — wcześniej, niż Polska. I rzeczywiście stanowi ona test-case /próba/ dla trzech mocarstw, które zapowiedziały, że będą się porozu-

miewać i prowadzić wspólną politykę wszędzie, gdzie zajdzie tego potrzeba. Wbrew temu, na skutek bezpośredniej interwencji Sowietów, zmuszono króla do udzielenia dymisji rządowi gen. Radescu i oddania władzy koledze Bieruta i Tity — p. Groza, a wreszcie zapowiedziano rzeź przeciwników politycznych, która skłoniła dotychczasowego premiera do szukania schronienia u przedstawicieli brytyjskiego. Nie dziwnego, że świat cały w napięciu śledzi wypadki rumuńskie: sądzić będzie po nich szczerą zapowiedź krymskich.

PRZED STARCIEM W SAN FRANCISCO

Jednocześnie polityce krymskiej grozi kryzys również w całym innej dziedzinie, a mianowicie na od-cinku organizacji bezpieczeństwa wojennego. Wiemy już teraz oficjalnie, że "kompromis" z Jaity w sprawie sposobu głosowania w Radzie Bezpieczeństwa był jeszcze jednym zwycięstwem sowieckim. Uchwalono, że wielkie mocarstwa mają mieć prawo weta /sprzeciwu/ nawet, gdy ktoś z nich jest oskarżony o agresję. Podobnej organizacji międzynarodowej świat jeszcze nie widział: następnik będzie orzekał, czy ma być ukarany! Oznacza to, że wielkie mocarstwa są ponad prawem: wolno im wszystko — mają rządzić światem. A jeśli i nie są w zgodzie, prawo milknie, rozstrzyga jedynie — siła.

Wolno przypuszczać, że mniejsze narody zbuntują się na konferencji w San Francisco przeciw takiemu pojęciu zasad współżycia narodów. Będą one żądały zlikwidowania *liberum veto* wielkich mocarstw i uszanowania zasady, że nikt nie może być sędzią we własnej sprawie. Francja, jak się zdaje, sztykuje się do odegrania roli przewodzącej wśród tych mniejszych państw. A również w W. Brytanii mnożą się głosy, domagające się, by wypowiedziała się ona przeciw panowaniu siły. Z drugiej strony Rosja zdecydowana jest nie dopuścić do zmian w uchwałach krymskich, które uważa za całość. Odmówiła nawet zgody na żądanie Francji, by projekt organizacji o-pracowany w Dumbarton Oaks i Jalcie był tylko podstawą dyskusji w San Francisco. Jest rzeczą oczywistą, że Moskwa odmówi udziału w organizacji, która miałaby prawo uznać Sowietów za agresora.

Hotel Polski w San Francisco będzie zapewne pusty, prawowity rząd polski nie został naskutek sprzeciwu Rosji zaproszony na tę konferencję. Nie mniej właśnie od losu Polski zależy w znacznej mierze los całej przyszłej organizacji międzynarodowej i w ogóle los pokoju.

Puste krzesło polskie będzie symbolem i ostrzeżeniem. Symbolem bankructwa polityki sojuszniczej, która dopuściła do tego, że pierwszy ze Zjednoczonych Narodów nie może odegrać roli, do której jest bardziej, niż uprawniony. I ostrzeżeniem, że droga obrona w Jalcie nie jest bezpieczna dla przyszłości świata.

Londyn, 11 marca 1945.

ALEKSANDER BORAY

Przegląd tygodniowy

Z tygodnia na tydzień

5 marca: Czolgi amerykańskie dotarły do śródmieścia Kolonii.
—Wojska sowieckie zajęły na Pomorzu Starogard, Nowogard i Potczym.
6 marca: Ogłoszono oficjalnie, że I Armia Amerykańska zajęła Kolonie.
—III Armia Amerykańska atakuje w kierunku na Koblenca.
—Wojska sowieckie zdobyły po dwu tygodniach walk Grudziądz.
Wojska sowieckie zajęły Kamień na pld. od Szczecina oraz na wschód od Szczecina Trzebiatów i Gryfie.
7 marca: Wojska sowieckie

zajął na Pomorzu Gniew oraz m. Golenóg /Gollnow/, Maszewo /Massow/ na wsch. od Szczecina i m. Stobnica /Stepenitz/ na wschodnim brzegu Zalewu Szczecińskiego.
—Wojska amerykańskie dotarły do Renu na ptn. od Koblenca.
8 marca: Wojska amerykańskie przekroczyły Ren w rejonie Remagen, między Bonn a Koblenca.
—Wojska sowieckie zajęły w Polsce Koscierzynę, na terenie Wolnego Miasta Gdańska m. Mierzyszyn oraz za Odra Seelow, na pld. zach. od Kistrzynia.
—Sprzymierzeni dotarli do Man-

dalay w Burmie.
9 marca: Walki toczą się na ulicach Kistrzynia.
—Wojska sowieckie zajęły Stupsk /Stolp/ oraz Derłowo /Ruegenwalde/ nad Bałtykiem.
—Artyleria sowiecka ostrzeliwuje Szczecin i Gdańsk.
—Lotnictwo amerykańskie zrzucało ponad 1.000 ton bomb zapalających na Tokio.
10 marca: Wojska sowieckie zajęły Kartuzy i Lębór.
11 marca: Ponad 1.000 bombowców brytyjskich bombardowało Essen.

TURCJA I CIEŚNINY

Obrady w Jalcie miały miejsce częściowo na pokładzie amerykańskiego krążownika, na którym przybył Prezydent Roosevelt. Stało się to możliwe dzięki stanowiu rzeczy, jaki powstał bezpośrednio przed przystąpieniem Turcji do wojny po stronie Sprzymierzonych. Kilkanaście okrętów alianckich przeszło wówczas na Morze Czarne przez otwartą przez Turcję cieśninę. Dziś zdąży tamteży zapewne większa ilość konwojów z zaopatrzeniem dla Rosji.

W ten sposób wreszcie rozwiązano jedno z najtrudniejszych zagadnień polityki światowej: wolna żegluga przez Bosfor i Dardanele.

Po wojnie Krymskiej /1854/55/ Rosja została "zamknięta" na Morzu Czarnym. Portyfikacje tureckie w cieśninach gwarantowały szczerłość zamknięcia.

Po wojnie rosyjsko-tureckiej /1877/78/ prawo żeglugi w cieśninach otrzymały wprawdzie rosyjskie statki handlowe, natomiast okręty wojenne mogły przebywać Dardanele i Bosfor tylko za zezwoleniem Turcji.

W r. 1914 niemieckie okręty wojenne "Goeben" i "Breslau" schroniły się do Konstantynopola i pod groźbą zombardowania miasta admirał Suchon zmusił Turcję do przystąpienia do wojny po stronie Niemiec. Fakt, że dwa okręty dokonały tego, czego nie potrafiła dokonać dyplomacja niemiecka — świadczy sam za siebie.

Giekawa jest w tej mierze wersja sowiecka Wasilijewa. Twierdzi on, że Anglicy mogli "Goeben" i "Breslau" zniszczyć na Morzu Śródziemnym, ale umyślnie pozwolili im schronić się do Konstantynopola, aby politycznie zaszachować Rosję, odciąć ją i nie pozwolić na urzeczywistnienie testamentu Piotra Wielkiego.

dzony w Odessie, przerzucony został do Małopolski, a flota nie prowadziła operacji uzgodnionych z Aliantami, po czym w r. 1917 uległa zupełnemu rozkładowi. Wówczas Alianci /1919/ wpłynęli na Morze Czarne, skąd zresztą niebawem dość szybko musieli się wycofać ze względów politycznych.

Pierwszymi okrętami wojennymi Związku Sowieckiego, które przeszły Cieśninę były: pancernik "Paryska Komuna" i krążownik "Komintern" — przysłane z Bałtyku w r. 1924. Turcja zezwoliła wówczas na ich wejście do basenu czarnomorskiego. Ale w zasadzie Cieśniny były nadal zamknięte. W obecnej wojnie zezwolono na przejście Cieśnin kilku małym /rzekom/ nieuzbrojonym /jednostkom niemieckim/.

I dopiero w chwili obecnej Cieśniny stają otworem dla Rosji i jej Sojuszników. Politycznie i strategicznie ma to ogromne znaczenie. Przede wszystkim w zakresie pomo-

cy materiałowej udzielanej Sowietom.

TRZY PUNKTY GOEBBELS'A

W ostatnim swym przemówieniu Goebbels zapowiedział: wzmocnienie nalołów na Anglię, wzmoczenie ofensywy podwodnej i przeciw-natarcie na froncie wschodnim.

Pierwsze dwie obietnice już "uruchomił", oczywiście bez wielkiego skutku. Ilość statków sprzymierzonych zatopionych w lutym utrzymała się na stosunkowo niskim poziomie. Historia o zniszczeniu konwoju murmańskim okazała się zwykłą niemiecką przesadą. Natomiast trzeba stwierdzić, że małe i duże niemieckie okręty podwodne stanowią wciąż jeszcze niebezpieczeństwo, którego nie należy lekceważyć. Z drugiej zaś strony pomagają wydatnie własnym wojskom, oddawna odciepię na Łotwie, Litwie i w Prusach.

Dziwna to rzeczywiście wojna. Ro-

szenie są pod Berlinem, a Anglicy i Amerykanie w Kolonii. Dzieli ich niewiele ponad 500 km.

A tymczasem większe siły niemieckie — od miesięcy odciepię — tkwią wciąż w Rochefort, La Pallice, Lorient, Royan koło Bordeaux, w Dunkierce. Z wysp na kanale La Manche wykonały wypad na Granville — z dobrym skutkiem. Zaś na froncie wschodnim jeszcze większe siły niemieckie są odciepię w trzech zasadniczych punktach, trzymają się również na wybrzeżu Łotwy oraz w rejonach: Królewiec-Piława i Gdańsk-Gdynia.

I to tylko dzięki temu, że mają oparcie o morze i morze ich zaopatruje, żywi i łączy z resztą Niemiec. I nie darmo Goebbels liczy, że okręty podwodne /i nawodne na Bałtyku/ pozwolą mu przedłużyć wojnę.

NA PACYFIKU

Nowe lądowanie i bombardowania nastąpiły na wyspach Palawan /Fi-

Wojna na morzu

List Sir Patrick'a Dollan'a

W związku z zaofiarowaniem przez premiera Churchilla obywatelstwa brytyjskiego żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych, w dwu pismach szkockich ukazały się głosy nieprzychylnie. Sir Patrick Dollan, wybitny działacz polityczny, znany czytelnikom z wystąpienia na tych łamach /"Głos szkockiego przyjaciela" w nr. 8 "Polski Walczący" z b.r./ skierował do prasy szkockiej list w tej sprawie. Czynimy zadość życzeniu Sir Patricka, ogłaszając tekst tego listu poniżej.

Please allow me to state that the Poles came here at the request of Winston Churchill and the British Government, who sent an S.O.S. to France begging the Poles to continue the fight against Germany. The Poles at that time could have returned to Poland as civilians or prisoners.

Correspondents need not worry about the Poles becoming British citizens. They are fighting for Poland and will return there as free men. Polish soldiers in Italy have already refused Mr. Churchill's offer of British citizenship, which was made without consulting the Poles, just as the Crimean Conference terms were dictated without the knowledge of Poland.

The Poles don't want anything from the British or the Russians except justice and fair play

Niech mi będzie wolno stwierdzić, że Polacy przybyli tutaj na wezwanie Winstona Churchilla i Rządu Brytyjskiego, który wysłał do Francji sygnał S.O.S., prosząc, aby Polacy nie zaprzestali walki przeciw Niemcom. Polacy mogli wtedy wrócić do Polski jako ludzie cywilni lub jeńcy wojenni.

Autorzy listów nie mają potrzeby martwić się faktem, iż Polacy przyjmą obywatelstwo brytyjskie. Walczą oni o Polskę i chcą do niej wrócić jako ludzie wolni. Żołnierze polscy we Włoszech już uchylił się od przyjęcia propozycji obywatelstwa brytyjskiego, wysuniętej przez p. Churchilla, ponieważ zrobiono ją bez pytania Polaków, podobnie jak podyktowano decyzje konferencji krymskiej bez wiedzy Polaków.

Polacy nie chcą od Brytyjczyków i Rosjan niczego innego — prócz sprawiedliwości i zachowania reguł uczciwego postępowania.

JULIAN GINSBERT

Nadal będziemy Dywizją Pancerną

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Stanowisko ogniowe w zrujnowanym domu



Jeńcy niemieccy eskortowani przez polski carrier

W lutym 1945

Jakże wielką, jakże zasadniczą rolę dla akcji bojowej posiadają towarzyszące jej warunki polityczne i moralne! Gdy jesienią 1940 roku lotnictwo polskie brało udział w powietrznej bitwie o Londyn — towarzyszyły mu najlepsze, najgorętsze myśli nie tylko zagrożonej W. Brytanii, ale całego świata. Z zapartym oddechem śledził on rozwój tej walki, która miała zdecydować o wszystkim i o wszystkim.

I choć Kraj pogrążony był wówczas całkowicie w czarnej nocy niemieckiego terroru — to jednak myśli lotników polskich, którzy walczyli i ginęli za Londyn, nie były czarne, nie były szare, bo zdawali sobie sprawę z tego, że wszystkie oczy w krajach wolnych i w krajach podbitych są na nich zwrócone, że moralność całego świata zogniskowała się w tej walce powietrznej i że symbolizując wszystkie najwspanialsze wartości zagrożonej kultury — biją się bezpośrednio o przyszły los Polski. I że tak samo rozumie cała opinia Narodów Zjednoczonych.

Dokładnie w cztery lata potem Polska Dywizja Pancerna weszła do akcji. W jej walkach, w jej osiągnięciach i zwycięstwach towarzyszyły jej znowu najlepsze myśli i najgorętsze uczucia ludzi dobrej woli. Rozwój wypadków śledzony był w napięciu nie tylko przez rodaków, rozsiadanych po całej kuli ziemskiej. O Dywizji myśleli wszyscy nasi przyjaciele. Wszakże w Szkocji, czytając komunikaty z frontu, mówiono z dumą:

— "Nasza dywizja walczy pod Falaise, zwycięża pod Chambois, ściga nieprzyjaciela w Belgii".

Wszakże Francuzi, Belgowie, Holendrzy nie szczędzili nam nigdy słów uznania i wdzięczności, podkreślając specjalnie, że wyzwolenie otrzymane z rąk polskich nabiera dopiero wymownego znaczenia triumfu dobrego nad złym.

Tak — uznania nam nigdy nie szczędzono. Dywizja przeżywała dni chwały i triumfu. Ale w jakich warunkach?

Trzeba pamiętać, że bojom Dy-

gim te same myśli chodziły wówczas po głowach, te same smutne, gorzkie myśli. Ale Dywizja walczyła dalej, parla wciąż naprzód, zdobywała Alphen i Gilze, uwalniała Brede, rozbijała bunkry w Moerdijk. Bez zgrzytu, bez skargi, bez słowa.

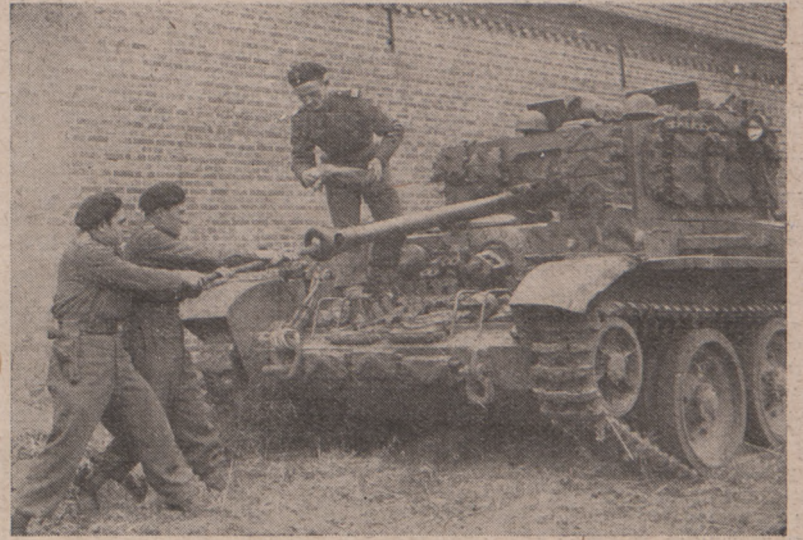
A potem nadeszły czasy inne. Pewien spokój, odprężenie, zmiana warunków, inny rodzaj akcji. To, co od czasów książki Remarque'a przywykliśmy nazywać: "nic się nie dzieje". Niejednokrotnie już ukazywały się korespondencje i reportaże, opisujące to życie na froncie, na którym "nic się nie dzieje". Życie, wymagające ciągłego pogotowia i czujności, służb i patrolowania, małych potyczek i pewnych, choć niewielkich, strat w ludziach i sprzęcie. Ten "odpoczynek" w kraju smutnym, brzydkim, mokrym, zabłoconym i strasznie biednym, nie stwarza okoliczności najlepszych dla nastroju zatroszczenia dochodzącymi wieściami.

Ale życie Dywizji rozwija się normalnie. Stworzono liczne kursy i szkoły, które w szybkim tempie dopełniają żołnierzom luki w ich wyrobieniu wojennym. Posiłki, które zapełniły wyrwy, poniesione w kilkumiesięcznych operacjach, są przeszkalane na miejscu i doprowadzane do stanu pełnej gotowości bojowej.

W ten sposób "na przodzie" Dywizja patroluje odcinek powierzonego sobie frontu, nawiązując raz po raz kontakt z nieprzyjacielem, a na tyłach doucza nowych swych żołnierzy. A w środku? . . .

A "w środku" kwitnie jakby życie garnizonowe. W środku są czyste holenderskie miasteczka, po ulicach miasteczek spacerują polscy pancerni, strzelcy czy kanonierzy w nienagannie wyprasowanych *battle-dressach*, ciesząc się niezwykle serdecznymi uczuciami, okazywanymi przez miejscową ludność.

Te niezwykle serdeczne uczucia doprowadziły już do osiemnastu "wypadków" /w samej tylko Bredzie/, którym błogosławieństwa udzielił szef duszpasterstwa Dywizji. Kina wyświetlają filmy, kantyny sprzedają herbatę, w kawiarniach gra muzyka. Okazuje się,



Czyszczenie działa po bitwie



Fasowanie jedzenia, w którym uczestniczą mali Holendrzy

najwyższym poziomie wyrobienia obywatelskiego. Przecież to jest wojsko, które wiedzę swą czerpało na wielu uniwersytetach, albo w liczniejszych jeszcze obozach koncentracyjnych. Wszyscy oni — to ludzie, którzy w ciągu długich sześciu lat przeżywali już tyle wzlotów i tyle upadków, którym nie zostało zaoszczędzone nic przykrego, złego, tragicznego.

Dywizja — to z jednej strony

z zmużenia oka swój obowiązek, wypełniał go może czasem lepiej, dokładniej, ofiarniej, niż tego wymagano, niż się spodziewano. Wypełniał go, bo rozumiał, że jest — jak to powiedział ostatnio gen. S. Maczek — najstarszym i najbardziej niezawodnym sojusznikiem.

—Dywizja pancerna nie po to zapisała się chlubnie w walkach na polach Francji, Belgii, Holandii, by imię swe stracić w niepoważnych wystąpieniach poszczególnych żołnierzy — powiedział generał. — Nie oczekujemy żadnych propozycji układowych, nie mamy zamiaru kapitulować, nie szukamy kompromisu, lecz z bronią w ręku oczekujemy na rozkazy naszych dowódców. Nadal będziemy Dywizją Pancerną.

Dywizji nie można sprowokować. Wypełni ona do końca swój obowiązek najbardziej niezawodnego sojusznika. Tylko, że dziś właśnie warto się zastanowić i uświadomić sobie, że siedem miesięcy w imię wolności innych krajów sojuszniczych, przeszło Polskiej Dywizji Pancerniej przy akompaniamencie ostatnich odgłosów zameczonyj Warszawy i ech decyzji krymskich, które tu, na froncie, w walce przeciw wspólnemu wrogowi, wyglądają . . . specjalnie tragicznie.

"Ze sztandarami, okrytymi chwałą stanęliśmy dziś w obliczu największej tragedii naszego narodu" — stwierdził w swym rozkazie p.o. Naczelny Wódz.

"Drôle de guerre!" Jakże byłaby śmieszna, gdybyśmy nie musieli rozpacznać.

MACIEJ FELDHUZEN



Gen. Koenig dekoruje dowódcę Dywizji gen. Maczka pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu

wizji Pancerniej towarzyszyły okoliczności tragiczne — operacje toczone były przy dźwiękach radia, donoszącego o Powstaniu Warszawskim, o jego rozwoju, nadziejach, zwątpieniach, upadku. Krwawiąc i ginąc na polach Francji, Belgii i Holandii, żołnierze wsłuchani byli w odgłosy tamtej walki. Aż wreszcie na ulicach miasteczka Baarle-Nassau dowiedzieli się, że zginęli tamci na ulicach Warszawy. I jedni i drudzy walczyli o to samo. I jednym i dru-

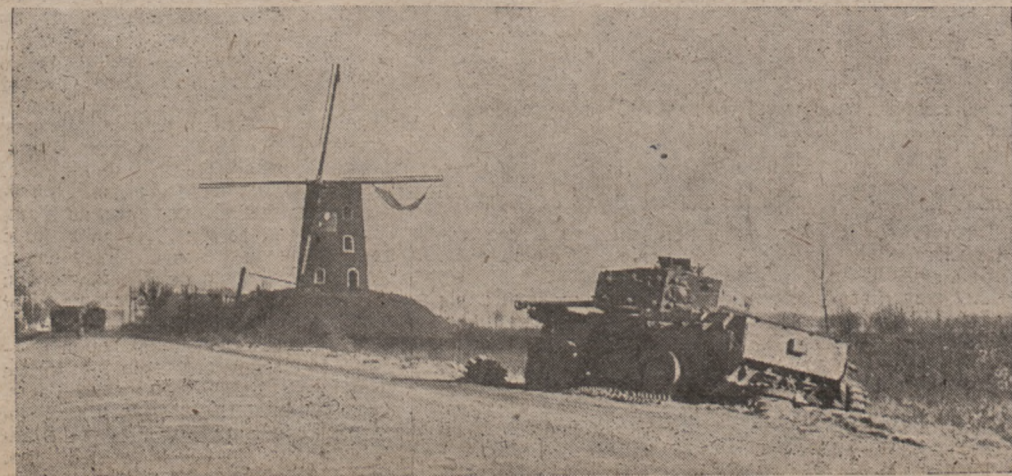
żem i tu nawet każda . . . lokalna piękność znajdzie swego amatora. Trzeba jednak dla sprawiedliwości przyznać, że Szkocja bynajmniej nie została zdradzona. Całe worki /dosłownie! / poczty codziennie przywożą i odwożą stopy listów, kursujących między Dywizją i Szkocją.

Tak pozornie wygląda życie Dywizji Pancerniej. Pozornie!

Bo najważniejszą prawdą jest to, że żołnierze myślą i rozumieją. Przecież to jest wojsko, stojące na

zbiór ludzi inteligentnych, wykształconych, a z drugiej strony ludzi wyrobionych życiowo na niespotykaną miarę. To jest wspaniałe wojsko, nad którym niepotrzebnie kiedyś załamywano ręce, twierdząc uczucie, że jest przegniele od szkockiego jamu i niezdolne do akcji po latach wygodnego nieróbstwa.

Na długim szlaku Dywizji Pancerniej pozostały trwale ślady, zadające kłam sceptycznym wywo- dom. Żołnierz-obywatel wypełniał



Jeniec holenderski opowiada o Polsce

W czasach, w których Niemcy rozpruwacze nie mieli jeszcze tak udoskonalonych metod masowego mordowania, ich sławny poeta napisał genialną prawdę: „Das ist die Kraft, die Böses will und Gutes schafft” — siła, która zamierza wyrządzić zło, a ostatecznie tworzy dobro.

Na pewno nie chcieli Niemcy zbliżenia i przyjaźni między ciemnymi przez siebie narodami. Nie, właśnie chcieli je jak najbardziej poróżnić, powasnić między sobą. Zapomnieli o jednym: że im biedniejszy, im bardziej przesładowany jest człowiek, tym bardziej jest wrażliwy na biedę i krzywdę wokół siebie. To jest proste dla ludzi, ale nie dla Niemców.

— Są to stwory najzupełniej człekokształtne, ale to niczego nie dowodzi. Na to, aby być człowiekiem, trzeba jeszcze mieć duszę, serce i odrobinę lepszych myśli w mózgowicy. Gdy tego brak, nie jest się człowiekiem, jest się — Niemcem. Trzeba o tym wszystkim dobrze pamiętać, bo tylko wtedy można ze spokojem i bez zdziwienia opowiadać to, co zdążyłem w ciągu ośmiu miesięcy w Polsce zobaczyć — mówi do mnie wysoki, bardzo miły oficer, którego dla uproszczenia nazywam „Porucznik Charles”.

NIEWOLA

W lipcu 1940-ego roku porucznik Charles, wraz z resztą załogi unieruchomionego holenderskiego okrętu wojennego walczył na ulicach Rotterdamu przeciw niemieckiemu najeźdźcy. Walka była jednak bardzo nierówna — parę dni później Holendrzy znajdowali się w pociągu, wiozącym ich do obozu jeńców wojennych, położonego gdzieś w głębi Rzeszy.

Dobrze strzeżony Oflag był już zamieszkały przez oficerów polskich. Holendrzy zostali szybko przyjęci do rodziny jenieckiej, wtajemniczeni w wszelkie obozowe mądrości i wkrótce już zaczęli projektować różne sposoby ucieczki. W tych swoich projektach korzystali oczywiście z fachowej pomocy licznych polskich kolegów. Zwyczajna znajomość i obozowe sąsiedztwo zamieniło się wnet w trwałą i serdeczną „międzynarodową” przyjaźń. Młody polski oficer — kapitan Jan — stał się nieodstępnym druhem porucznika Charlesa.

Rok za drutami kolczastymi przeszedł im niespodziewanie szybko. W tym okresie porucznik Charles i jego polscy i holenderscy koledzy wykonali ogółem czternaście prób ucieczki, z których ani jedna się nie udała, a kilka skończyło się tragicznie. W drugim roku pobytu nikt z Holendrów już nie próbował ucieczki. Powodem tej zmiany nie była wzmocniona czujność niemiecka. Po prostu jeńcy jakimś cudem dowiedzieli się, że główne obozy internowanych znajdują się na terenie Polski — tam przebywają wszyscy oficerowie aliancy, z wyjątkiem samych Polaków. Na terenie Polski ucieczka ma znacznie większe widoki powodzenia, dzięki wrogiej Niemcom ludności. Tak przynajmniej porucznikowi Charlesowi wytłumaczył to polski przyjaciel kapitan Jan, któremu Holender święcie wierzył.

Wobec tego przybyło porucznikowi Charlesowi i jego wszystkim rodakom zupełnie nowe zajęcie: wieczorami starannie pozaszywania w kątach baraków uczyli się języka polskiego pod nadzorem obozowych nauczycieli. Porucznik Charles, oprócz tego, tak „na wszelki wypadek”, zajął się zbieraniem adresów w Polsce.

W połowie 1943-ego roku grupa oficerów cudzoziemskich została wywieziona do obozu w południowo-wschodniej Polsce.

W Oflagu w Polsce porucznik Charles spędził sześć długich jesiennych i zimowych miesięcy. W grudniu powiedła mu się narzeczona — w dwójkę z innym Holendrem wydostali się na wolność, obdarci, wynędzniali, głodni i nie znający miejscowego języka. Również ich wygląd nie wróżył zbytniego powodzenia — obaj bruneci, o silnej domieszce malańskiej, odbijali silnie od niebieskookiej i jasnowłosej ludności kraju.

UCIECZKA

Sześć mroźnych nocy trwała ich

wędrowka — szli głównie lasami, w ciągu dnia starając się odpocząć i przespąć w leńszych krzakach. Po czterech latach po raz pierwszy przydała im się znajomość astronomii żeglarskiej: szli w kierunku północno-zachodnim, biorąc do pomocy Gwiazdę Polarną i inne pierwsze wielkości gwiazdobioru. W jednej tylko rzeczy nie mogli im gwiazdy pomóc — w zdobyciu jedzenia. Szóstej nocy, a raczej wczesnego zimowego wieczoru zdecydowali się na wyjście z lasu.

Znajdowali się w okolicy jakiejś wsi. Ostrożnie i z duszą na ramieniu podeszli do pierwszej z brzegu chaty. W oknie świeciła się lampa naftowa. Zapukali. Otworzyły się drzwi i obaj przyjaciele zobaczyli skromnie ubraną kobietę, przyglądającą się im nieufnie. Przyjaciel porucznika Charles spróbował swojej w obozie nabytej polszczyzny. Skutek był piorunujący. Kobieta cofnęła się, przybrała pozycję obronną i krzyknęła przestraszonym głosem: „Partyzanci!”

Po tym okrzyku nastąpiła zdwojona porcja wzajemnego przypartywania się. Porucznik Charles uśmiechał się z zakłopotaniem, jak na złość wszelkie dobre polskie słowa uleciały mu z pamięci. W głębi duszy żywił lekką nadzieję, że przecież zbytnio po partyzanku obaj nie wyglądają. Kobieta jednak nie wyglądała na taką, która da się zwieść łagodnym wyglądem. W dalszym ciągu spozierała nieufnie i bez śladu sympatii na chude i wynędzniałe sylwetki obu zbiegów. W tym momencie porucznik Charles zdołał wydobyc z mroków pamięci jedno jedyne, najcenniejsze słowo, którego nauczył go kapitan Jan. Słowo to wyszło mu z zaschłej gardzieli przedziwnym, niesłowiańskim szaleństwem:

— „Szcziiiijajal...”

Cud był wyraźny. Kobieta, jakby nauczycielską zyłką wiedzioną, poprawiła brzmienie magicznego wyrazu — przyjaciel — a później skłoniła się przed nimi milcząco i szerokim ruchem ręki zaprosiła ich do wnętrza. Zaczęła się rozmowa dziwnym, łamanym polsko-holendersko-niemieckim językiem. Sens jej był następujący:

— Jeżeli pani jest tak przerażona, a my wiemy, że narażamy ją na wielkie niebezpieczeństwo — to my sobie pójdziemy. Myśmy tylko chcieli powiedzieć, że jesteśmy oficerami sprzymierzonymi, a poza tym jesteśmy bardzo głodni.

Gospodyni, z wyglądu prosta, wiejska kobieta w chustce na głowie, wyprostowała się dumnie i odpowiedziała łamaną niemiecką:

— O, nie, nie pójdziecie nigdzie — ja jestem polską kobietą. Potem wszystko już było przedziwnie proste. Obaj zbiegowie po raz pierwszy od trzech z górą lat dostali wspaniały obiad i tak się objęli, że się długo nie mogli ruszać. Później nastąpiła kąpiel w balii gorącej wody i sen w szerokim, małżeńskim łóżu.

Zostali zbudzeni wczesnie rano i po pożywnym śniadaniu, gospodyni zaprowadziła ich na stację kolejową. Przed samym pożegnaniem się dostali od niej rozkaz siedzenia w poczekalni i nieruszenia się z miejsc. Przyjście do nich drobna, młoda kobieta w niebieskim kapelusiku na głowie, która się nimi zajmie. W pewnym momencie czekania obaj otrzymali nowe, porządne kapelusze. Porucznik Charles nie chce i nie może powiedzieć, w jaki sposób te kapelusze znalazły się w ich rękach. Uśmiecha się tajemniczo i mówi o tym po prostu:

— Przywędrowały.

Poczekalnia była zupełnie pusta, ale na peronie kręcił się tłum niemieckich żołnierzy, gestapowców i „bansuców”. Holendrzy spoglądali co chwila przez uchylone drzwi na ten tłum i robiło im się zimno ze strachu. Tymczasem „wędrowały” do nich inne garderobiane szczegóły. Płaszcz, szaliki, spodnie i rękawice zastąpiły ich dotychczasowe lachmany. Było trochę strachu ze zmianami spodni i „spławianiem” starych obozowych relikwii, ale jakoś się udało. Żelazny piecyk w poczekalni był wcale obszerny i, co najważniejsze, zgodnie z przepisami niemieckiego nowego ładu, nie był potrzebny „rasie podrzędnej” i nie palił się wcale.

NIEBIESKI KAPELUSIK

O godzinie pół do dziesiątej do poczekalni zaglądnęła młoda niewiasta w niebieskim, szykowym kapelusiku na głowie. Widać było z jej twarzy, że nie była zbyt pewna, czy to właśnie o nią. Holendrzy wstali szybko z miejsc. Twarz kobiety ozdobił szeroki, promienny uśmiech. Podeszła do nich i przywitała się tak, jak się wita człowiek ze starymi znajomymi, których widział dwie godziny przedtem. Mówiła płynnie po niemiecku.

— Co, nie macie jeszcze biletów? Ach ci mężczyźni! Takie słamazary — nawet biletów sami sobie kupić nie potrafia! Wszystko te kobiety muszą za nich robić!

Kobieta znikła, po to tylko, by za chwilę wrócić z trzema biletami w rękę. Pociąg był już na stacji. Przewodniczka kazała im milczeć i iść za sobą. Kazała im nawet naśladować ruchy.

Do dziś dnia porucznik Charles nie umie wytłumaczyć, co się działo w następnych pięciu minutach. Szli posłusznie za swą przewodniczką i naśladowali wiernie jej ruchy. Co chwila znajdowali się w tłoku oliwkowych, czarnych i brunatnych mundurów — przepychali się przez ten tłok łokciami i kolanami. Drobną figurką ich nowej opiekunki zniknęła w ludzkiej toni, to znów wynurzała się, cały czas uśmiechając się radośnie i ufnie do swych pupilów. W końcu znaleźli się w przedziale — siedzieli na trzech miejscach obok siebie. Kobieta, nic nie tracąc ze swego tempa, rozwinęła trzymane pod pachą zawiniątko i, wciąż jeszcze gderając na niezaradność męską, obdarowała obu osłupiałych Holendrów znakomitymi kanapkami.

Następnego dnia w godzinach popołudniowych byli już w Warszawie. Droga przeszła im jednostajnie. Wszyscy pasażerowie milczeli, jak zakleci, spoglądając na siebie spoďelba. Kilku z nich spało, albo udawało, że śpi. To samo starali się robić obaj Holendrzy, ale w rzeczywistości nie byli zdolni nawet się zdrzemnąć. Ich opiekunka przeglądała z zajęciem gazety i magazyny niemieckie, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Kontroli biletowej w ogóle nie było. Porucznik Charles nie wiedział, czy to jest szczególny wypadek, czy zasada. Nie wiedział, czy ma się z tego cieszyć, czy martwić.

WARSZAWA

Pociąg zatrzymał się na jednym z dworców warszawskich. Sapał dwukrotnie, gwizdnął i zastygł w nieodwołalnym bezruchu. Pasażerowie rzucili się ku drzwiom z tłumokami, popędzani jakąś niewytłumaczalną potrzebą pośpiechu. Porucznik Charles nie wytrzymał i zapytał się swej przewodniczki:

— Czego oni wszyscy się tak śpieszą?

Mała kobietka machnęła lekceważąco ręką.

— To szmuglerzy — powiedziała — pilno im uciec od „łapsów”. Za szmugiel ostatnio rozdają wyroki śmierci.

Porucznik Charles już miał na końcu języka coś w rodzaju: „a co nam wobec tego dadzą, gdy nas złapią...” — ale się powstrzymał. Przez drzwi do wnętrza przedziału zaglądnął mały człowieczek o twarzy szczura. Spojrzył na siatkę bagażową, schylił się i rzucił okiem pod nogi pasażerów, wyszczerzył zęby w dziwnym grymasie i wyszedł.

— To właśnie „łaps” — powiedziała przewodniczka — szuka jedzenia i nic go więcej nie obchodzi.

Chwilę później wszyscy troje znajdowali się na szerokim skwerze przed dworcem. Przewodniczka rozglądała się dokoła, a później zwróciła ich uwagę na samotną kobietę, czytającą nagiłki i tytuły książek w kiosku dworcowym.

— Widzicie ją — powiedziała — to wasza nowa przewodniczka. Pójdźcie do niej i zawołacie „hallo, Sophie”, po niemiecku, naturalnie. Ja muszę was pożegnać. Porucznik Charles chciał w jakiś sposób wyrazić ich wdzięczność, nie wiedział tylko jak.

— Chcielibyśmy pani podziękować za to wszystko, co pani dla nas zrobiła. Jesteśmy bardzo wzruszeni...

— Żarty, moi panowie — przer-

wała mała kobietka, niedbale machając ręką — to był mój prosty obowiązek i nic więcej.

— Wiem, że głupio mi o to pytać — nie ustępował porucznik Charles — ale może pani zostawić nam przynajmniej swoje nazwisko. Chcielibyśmy wiedzieć, komu mamy być wdzięczni...

— To wam mogę powiedzieć — nachyliła się ku ich uszom i szepnęła wyraźnie — nazywam się: Polska kobieta.

Chwilę później obydwoj witali się już z Zofią, która zaprowadziła ich do przeznaczonych dla nich kwatery.

ZOSIA

Zofia, a właściwie Zosia była ich przewodniczką, opiekunką, a zarazem łączniczką z organizacją podziemną. Znacznie później dowiedzieli się obaj Holendrzy o całokształcie jej roboty. Przede wszystkim więc była ona czymś w rodzaju adiutanta niejakiemu „Piotra”, dowódcy jednej z kompanii Armii Krajowej. Czarująca piękność, biegle władająca językiem niemieckim, spełniała nieprawdopodobną ilość obowiązków codziennych. Roznosiła, gdzie potrzeba, Steny, pistolety, a nawet ręczne karabiny maszynowe. Na ich władaniu znała się pierwszorzędnie. Pisywała artykuły do prasy podziemnej. Rozdziałała gazety i bibule. Poza tym wszystkim była jeszcze zwyczajnym szeregowcem kompanii kapitana Piotra. W czasie wolnym, to znaczy w resztkach czasu, które jej z dwudziestu czterech godzin zostawały, obkuwała się w języku angielskim. Porucznik Charles nigdy nie podejrzewał w niej zdolności do snu.

Holendrzy nie wychodzili samopas na miasto. I czy to był tylko przypadek, czy naprawdę ich kobiecie przewodniczki umiały zapobiegać spotkaniom z niemiecką policją — pierwszy raz, gdy na własną rękę wyszli ze swej kwatery, „nadziali” się na oficera Gestapo. Stało się to na jednym z nabrzeży Powiśla. Porucznik Charles wydobyl swoje papiery i wręczył je Niemcowi. W czasie, gdy Niemiec uważnie je studiował, porucznik Charles uświadomił sobie ze zgrozą, że drugi Holender nie posiada żadnych papierów. Jak było do przewidzenia, Gestapowiec zażądał papierów jego kolegi. Nie było innej rady: mocny sierpowy w szczękę Niemca zrzucił go do wody. Papiery niestety zostały z nim. Obaj Holendrzy uciekli czym prędzej do swej kwatery.

Ten wypadek zadecydował o konieczności wyjazdu z Warszawy. Już tydzień później wywiad obrony Armii Krajowej doniósł, iż papiery porucznika Charlesa są w rękach Gestapo. Drugi Holender był na razie bezpieczny.

TRZY WARSZAWSKIE DZIEWCZĘTA

Niedaleko Łodzi znajdowało się średnie gospodarstwo rolne, zarządzane przez trzy dziewczęta. Porucznik Charles został niezwykle gościnnie przyjęty. Wkrótce już wszedł w magiczny krąg gospodarskich zajęć: rąbał drzewo, orał /pozał się Boże, jak to oranie wyglądało!/, sprzątał i mył naczynia. Wieczorami gromadzili się we czwórkę w kuchni; on opowiadał dziewczętom o dalekiej Holandii i jeszcze dalszej, egzotycznej Jawie, a one uczyły go miłości polskiej ziemi.

Wszystkie trzy były dziewczętami wykształconymi i, jak to wkrótce poznał porucznik Charles, wcale nie były poslane na wieś dla uprawiania roli. Co sobotę przyjeżdżali do nich „goście z Warszawy”. Co ci goście robili, tego porucznik Charles naprawdę nie wiedział. Kilkakrotnie przyjechali do nich nawet aktorzy, którzy o północy dawali ludności miejscowej przedstawienia w głębi lasu. Sceną była oczywiście leśna polana a z góry przyświecał im samotny reflektor — staruszek księżyc. Tych przedstawień, polskich pieśni i tańców porucznik Charles nie zapomniał i nie zapomni nigdy. Na dowód tego uśmiecha się i nuci wcale melodyjnie: „Gęsi za wodą, kaczkę za wodą, uciekaj dziewczyno, bo ciebie poba...”

Tak się już zwykle składa, że to, co przyjemne i piękne, musi się pewnego dnia skończyć. Z powodu dość trudnych do wytłumaczenia powikłań, porucznik Charles musiał opuścić Polskę. Miał do wybo-

ru dwie drogi: jedną, długą i bardzo ryzykowną, przez Niemcy i drugą, znacznie krótszą, do Rosji.

Dnia 20-ego lipca 1944-ego roku porucznik Charles został odwołany ze wsi z powrotem do Warszawy. Administracyjne władze podziemne miały już wszystko przygotowane, czekały tylko na przyjazd łącznika z grupy partyzanckiej. Wkrótce potem Armia Czerwona zdobyła Lublin, cała grupa znalazła się nagle po stronie sowieckiej, tracąc wszelką łączność z władzami podziemnymi. Plan drugiej drogi — na Rosję — upadł.

POWSTANIE

Następny rozdział wspomnień porucznika Charles otwiera się z dniem pierwszego sierpnia o godzinie piątej popołudniu. Na ulicach Warszawy padły pierwsze strzały. Z podziemi wyszli na wierzch ludzie, dyszący żądzą zemsty, walki, tęskniący do wolności. Byli świetnie zorganizowani, zdyscyplinowani, znakomicie kierowani przez niewidoczne, tajemnicze dowódcy. W pierwszych dniach walk Polacy opanowali wszystkie większe bloki domów. Gdzieś zdaleka, zza Pragi słychać było głucho grzmoty sowieckich dział. Pod Warszawę zakradała się wolność i czekała na swój czas.

Wtedy to porucznik Charles zobaczył pierwsze wesołe i beztraskie uśmiechy na twarzach walczących Polaków. On sam człowiek bądź co bądź obcy, przybysz z daleka, rozumujący chłodno, rzeczowym umysłem zawodowego wojskowego inaczej zapatrywał się na położenie powstańców. Martwiło go więc, że Niemcy w dalszym ciągu byli panami głównych arterii komunikacyjnych i mostów.

Siedemnaście dni pobytu w walczącej Warszawie — bo tak długo przebywał porucznik Charles w stolicy — znaczyło dla niego więcej niż dwa lata pobytu w pokojowych warunkach. Zobaczył prawdziwe, nieklamane bohaterstwo narodu. Widział dziewczęta szesnastoletnie, usmarowane prochem i błotem ulicy, zadyszane i bez tchu, walczące z niemieckimi żołniami. Rzucali na nie butelki z benzyną. Zobaczył chłopców czternasto — i nawet mniej — letnich, obsługujących karabiny maszynowe. Był świadkiem zemsty niemieckiej — brutalnej i podlej. Widział kościół, wypełniony tłumem wierznych, zabarykadowany od zewnątrz i podpalony. I wtedy, gdy śmierć w płomieniach trawiła już ludzi, porucznik Charles nie usłyszał ani jednego jęku, ani jednej prośby o pomoc. Sam zresztą znajdował się w takim położeniu, że nie mógł tej pomocy udzielić. W momencie, w którym wydawało mu się, że ogień już strawił resztki życia w kościele, usłyszał śpiew. Pieśń ludzi wolnych, jakkolwiek ginących. Hymn kraju, który nie zginął, bo jego naród żyje i walczy.

— Ile razy słyszę wasz hymn narodowy — mówi porucznik Charles — tyle razy widzę kościół, płomień i tych ludzi. To mi już zostanie do końca życia.

Jeszcze raz porucznik Charles oddaje hołd Polkom walczącym. Oto jego słowa:

— Dziewczęta te znały dokładnie nowoczesną broń, gotowały żywność dla żołnierzy, rejestrowały i grzebały zabitych, opatrzywały rannych, naprawiały broń, wypelniały butelki benzyną, były wszędzie. Dla każdego miały uśmiech i słowa pociechy; niosły życie tam, gdzie zdawało się, że tylko śmierć jest zdolna dotrzeć.

Siedemnastego dnia powstania porucznik Charles został odstawiony niemieckim samochodem ciężarowym do Modlina. Przy kierownicy siedział szofer w mundurze SS. Zarówno samochód, jak i kierowca należeli do Armii Krajowej. Z Modlina porucznik Charles wyjechał na drugi dzień niemieckim „Schnellzugem” przez Berlin do Rotterdamu. Obecnie kapitan Marynarki Jej Królewskiej Mości jest w Londynie, opowiadając wszędzie i wszystkim to, co widział w Polsce.

— Ja tylko płacę dług, zaciągnięty przez osiem miesięcy pobytu w Polsce. Choćbym miał całe życie spędzić na opowiadaniu, czuję, iż nigdy nie będę w możności opowiedzieć wszystkiego.

ANDRZEJ STOCKER

MacArthur wraca na Filipiny

I.—Od Papui do Filipin



Gen. MacArthur, dowódca Południowo-Zachodniego Pacyfiku

M.p. w lutym 1945

Tak niedawno to było, gdy pewnego pamiętnego dnia, na początku 1942 roku, generał Douglas MacArthur wylądował na ziemi australijskiej, opuściwszy na rozkaz prezydenta Roosevelta walczącą twierdzę Corregidor. Zdawało się wtedy, iż nic nie powstrzyma japońskiej nawałnicy na kraje ludzi białych i ich posiadłości w Azji i na Pacyfiku. Flota Pacyfiku — zarówno amerykańska, jak brytyjska leżała w znacznej części na dnie oceanu, najważniejsze punkty obronne Sprzymierzonych były albo zajęte, albo zagrożone, albo odosobnione.

Bohaterska obrona półwyspu Bataan i twierdzy Corregidor przyczyniła się zapewne do dodania otuchy tym wszystkim, którzy w bohaterstwie i poświęceniu amerykańsko-filipińskiej załogi widzieli zapowiedź odwetu — niemniej nie poprawiło to fatalnej sytuacji strategicznej. Mimo to jednak generał MacArthur — lądując w Australii po swej dramatycznej ewakuacji z Corregidoru — złożył uroczyste zapewnienie, iż powróci na Filipiny i przyniesie Filipincom niepodległość. Spełnienie tej obietnicy stało się główną wytyczną strategii Dowódcy i Sztabu Generalnego Okręgu Południowo-Zachodniego Pacyfiku, powołanego oficjalnie do życia 18 kwietnia 1942 roku.

Kiedy dzisiaj — po upływie dwóch z górą lat — spoglądamy wstecz, gdy teraz oceniamy strategię generała MacArthura, uderzyć nas musi zarówno ogrom zadania, które sobie postawił, jak i sprawność i celowość każdego kroku, który go zbliżał do urzeczywistnienia celu. Jeżeli do tego dodamy trudności w uzyskiwaniu posiłków i dostaw wskutek przyjętej przez Naczelne Dowództwo Alianckie zasady: "bić Hitlera w pierw", gdy zdamy sobie sprawę, z odległości, które wojsko miało do pokonania, z tysięcy mil od fa-

bryk Ameryki do frontów Pacyfiku, z piekielnego klimatu, gdy uzmysłowimy sobie niemożliwe do przebycia dzungle, zbocza wysokich gór, niebezpieczeństwo malarii, która w pierwszym okresie walk groźniejsza była od wroga — będzie dla nas jasne, iż sukcesy na Pacyfiku przejdą do historii militarnej, jako pierwsze i jedyne w swoim rodzaju /pragnętu zaznaczyć, iż wielką część zadania spełniła Flota Pacyfiku pod komendą Admirała Nimitza, której posunięcia agresywne należą niewątpliwie do szczytów skutecznej strategii morskiej/.

Jak już miałem okazję wspomnieć w jednym z moich poprzednich artykułów na ten temat — pierwszy okres strategii generała MacArthura określić można jako zaczepną obronę. Australia była niemal bezbronna, Floty Pacyfiku jeszcze niemal że nie było, lotnictwo było słabe — a Japończycy zbliżali się nieubłaganie do brzegów Australii i przygotowywali się do przerwania długich linii komunikacyjnych łączących front gen. MacArthura z portami Ameryki. Ostatnią bazą w rękach Sprzymierzonych na północ od Australii był Port Moresby. Rozpoczęcie akcji stamtąd znaczyło, iż MacArthur postanowił nie dopuścić do akcji defensywnej na kontynencie australijskim.

Nieprzyjacieli rozpoczął natarcie na Port Moresby czterema szlakami /trzy drogi lądowe i jedna morską/. Kosztem wielkich ofiar został on zatrzymany i odparty wszędzie, o czym nie będę się szczegółowo rozpisywał.

Kilka posunięć oskrzydających i na początku stycznia 1943 roku kampania o Papuę zakończyła się przez zajęcie Gona przez Australijczyków, Buna przez Amerykanów i Sanananda przez australijską 7-ą dywizję, wstawioną walkami na Środkowym Wschodzie, /rzucano ją do walki w Nowej Gwinei niemal wprost z okrętów, które przewiozły ją z Syrii/.

Ten okres walk był niezwykle kosztowny. Na 13.000 ludzi, którzy wzięli w nich udział — 10.000 było rannych lub pokonanych przez malarię, zaś 670 zabitych. Jednak ta kosztowna lekcja przyniosła znakomite rezultaty. Urządzenia zdrowotne zmniejszyły ilość wypadków malarii o 95%, zaś nowe doświadczenia z użyciem lotnictwa w walkach w dzungli zmieniły zapewne zupełnie układ sił po obu stronach, a co najważniejsze — tempo walki. Przez 6 miesięcy 1942 roku posunięto się o 180 mil od Port Moresby. W podobnym okresie czasu w 1944 roku skok od Hollandii do Morotai /w archipelagu Halmahera/ wyniósł 935 mil.

We wszystkich swych operacjach MacArthur unikał skutecznie kosztownych ataków frontowych, starając się zaskakiwać nieprzyjaciela, oskrzydlać go i odcinać, co oczywiście udało mu się dzięki silnemu i dobrze dowodzonemu lotnictwu generała Kenney'a. Dzięki temu strategia i posunięcia taktyczne tak były zespolone ze strategią lotniczą, iż bezpośrednim celem każdego posunięcia wojsk bywało niezmiennie jakieś ważne lotnisko lub baza lotnicza. Z tych zdobytych baz lotniczych lotnictwo alianckie natychmiast rozpoczynało następną akcję lub neutralizowało nieprzyjaciela i jego linie komunikacyjne.

Jak to obrazowo określił generał Whitehead, dowódca 5 grupy lotniczej, strategia amerykańska polegała na tym, by "zabić więcej Japończyków, by zdobyć więcej baz, by zabić więcej Japończyków, by zdobyć więcej baz..."

Lotnictwo ostatecznie przesądziło losy Japończyków na Nowej Gwinei, gdy rozbiło ono niemal zupełnie wielki konwój z posiłkami japońskimi na morzu Bismarcka. Całe niemal lotnictwo bojowe, liczące wówczas aż 136 samolotów, atakowało konwój przez trzy dni bez przerwy. Rezultat był katastrofalny dla wroga.

W następnej kampanii Sprzymierzonych zdobyli trzy ważne bazy japońskie na p.n.-zachodnim wybrzeżu Nowej Gwinei — Lae, Salamaua i Finschhafen.

W innej stronie Pacyfiku wojska i piechota morska Południowego Pacyfiku zaatakowała i zdobyła Guadalcanal i wylądowała na kilku pobliskich wyspach /m.in. Bougainville, skąd można było skutecznie bombardować główną bazę japońską na Południowym Pacyfiku — Rabaul, była stolicą australijskich posiadłości w Nowej Gwinei/. Po bombardowaniu przygotowaliśmy i dywersyjnych lądowaniach na okolicznych wyspach wojska amerykańskie wylądowały na wyspie Nowej Brytanii, której stolicą jest Rabaul. Po dwóch tygodniach zaciętych walk zdobyto przylądek Gloucester, uzyskując lotnisko odległe 250 mil od Rabaul i tym samym neutralizując tę pożądaną bazę.

Po uzupełnieniu brakujących ogniw w blokadzie Nowej Brytanii, N. Irlandii i przylegających wysp, jak Archipelag Admiralicji i świętego Mateusza odcięto ok. 50.000 Japończyków i przesunięto natarcie z powrotem w kierunku zachodnim Nowej Gwinei.

W kwietniu 1944 roku najsilniejsze dotychczas jednostki Sprzymierzonych wylądowały w trzech punktach na wybrzeżu Nowej Gwinei: lądowania w Aitape, zatoce Humboldta /115 mil na zachód/ i zatoce Tanahmerah /25 mil na zachód/.

Japończycy zostali znowu zaskoczeni, gdyż przygotowywali się na lądowanie w Wewak i Madang. Niemał bez żadnego poważnego oporu zajęto trzy wielkie lotniska w Hollandii i jedno koło Aitape, co oznaczało jeszcze jeden skok Sprzymierzonych: od Saidor do Hollandii /500 mil/. W międzyczasie Australijczycy zajęli Madang, Alexishafen i zatokę Hansa pozostawiając za sobą i przed sobą ok. 60.000 Japończyków w okręgu Wewak. /Wszystkie te okrężne jednostki japońskie likwidowane są przez wojska australijskie/.

Hollandia przekształcona została w wielką bazę aliancką. W pięknej i zdrowej okolicy wybudowano obozy, drogi i szosy, rozszerzono lotnisko. Obozy różnych oddziałów połączono gęstą siecią

doprawdy znakomitych dróg, tak dobrych, iż nawet tropikalne deszcze nie potrafiły ich rozmiękczyć. Elektryczność, bieżąca woda, dobre jedzenie — świeże jarzyny sprowadzane są samolotami — oraz nieprawdopodobna ilość jeep'ów i innych środków lokomocji powodują, iż życie na tym od ludzi przechodzi zupełnie znośnie. Poza tym klimat jest — jak na Nową Gwineę — idealny. Chłodne poranki, wieczory i noce oraz suche gorąco przerywane przyjemnym powiewem wiatru stanowią klimat tego uroczego zakątka.

Wróćmy jednak do naszej historii. W trzy tygodnie po zajęciu Hollandii następny skok posunął Sprzymierzonych o dalszych 115 mil na wyspę Wakde. Dziesięć dni później wylądowano 210 mil na zachód na wyspie Biak, zaś dwa miesiące później na Noemfoor /100 mil na zachód/. Omijając bazę japońską Manokwari, gdzie nieprzyjacieli przygotowywał gorące przyjęcie — wojska nasze wylądowały

wyspie Morotai, 300 mil od Filipin. Lądowanie to znowu zaskoczyło Japończyków, którzy przygotowywali się na inwazję dużej wyspy Halmahera. Tymczasem przez stosunkowo tanie zwycięstwo na Morotai — lotnictwo sprzymierzone mogło zneutralizować bazę japońską w Halmahera.

Tak w dwa i pół roku zdołał generał MacArthur położyć podwaliny pod cel pierwszy swej strategii — powrót na Filipiny.

Spoglądając wstecz na tę gigantyczną serię zwycięskich operacji, należy, sądzę, położyć szczególny nacisk na największego wroga ludzi białych w tym teatrze operacji — na dzunglę, zdradziecką, nieprzenikloną i morderczą dzunglę, która jest wszędzie na południe od Filipin. Podkreślić trzeba trudność walki, łatwość obrony, zasadzek i przenikania, w czym Japończycy tak celują, nadludzkie trudności dostaw i transportu. Pamiętać trzeba, iż Amerykanie budować musieli każdą zdobytą bazę od



Żołnierze amerykańscy przed wielką mapą frontu Pacyfiku



Lądowanie piechoty amerykańskiej na wyspie Luzon

wały, niemał bez walki, w Sansapor — 200 mil na zachód od Noemfoor.

Japończykom nie pomogła fanatyczna obrona na wyspach Wakde i Biak, nie pomogły desperackie ataki w okolicy Aitape. Wielkie ilości żołnierzy nieprzyjacielskich zostały odcięte, pokonane i zupełnie zdemoralizowane bez walki. Obecnie niektóre oddziały niedobitków starają się dotrzeć do brzegów, z których można je będzie ewakuować, inne zaś przemieniły karabin na narzędzia ogrodnicze i oddają się uprawie ziemi — zapewne w oczekiwaniu na lepsze czasy, które już nie przyjdą.

Ze zdobytych baz w Sansapor, Biak i Noemfoor lotnictwo Sprzymierzonych zneutralizowało i sproszkowało cały łańcuch stanowisk obronnych wroga, broniących dostępu do Wypu Filipińskich i posiadłości holenderskich. Po zdobyciu całkowitej przewagi w powietrzu nad południowymi Filipinami i okolicznymi wyspami — generał MacArthur wylądował na

podstaw. Usuwać grunt, by umożliwić lądowanie transportów, budować mola, porty i doki, przebijać drogi przez trawy i moczary i tropikalne lasy, budować lotniska tam, gdzie nie było niczego i uniemożliwić zmycie ich przez piekielne tropikalne deszcze, jakich sam obecnie doświadczam. Budować i uruchamiać elektrownie, kanalizacje /w znaczeniu przede wszystkim aparatury do oczyszczania wody/, budować namioty i baraki. W miarę posuwania się naprzód były wprowadzane specjalne urządzenia, które zapobiegły panoszeniu się dyzenterii.

Cały transport odbywał się musiał drogą morską lub powietrzną, gdyż droga lądowa była niemożliwa do wykorzystania bez nieprawdopodobnych wkładów pracy, kosztów i materiałów. Mimo to aparat dostaw rozpozczierający się na potężnym szlaku San Francisco — Australia poprzez wyspy i wysepki — nie zawiódł.

RYSZARD KRYGIER



Amerykanie bombardują Fort Drum w Zatoce Manili

Henryś będzie lotnikiem



Zawsze uśmiecham się do dzieci, tak jak zawsze staram się poglaskać każdego napotkanego kota. Nie dlatego, żebym lubił dzieci. Przeciwnie, nie znoszę dzieci i jeśli kiedykolwiek będę miał własne, to muszą one być od razu pełnoletnie. Ale jestem przekonany, że w stosunku człowieka do świata wiele zależy od tego, czy, jako dziecko, widział więcej uśmiechów, czy złości na twarzach otoczenia. Dlatego uśmiech do dziecka uważam za obowiązek, za lekką służbę. A koty po prostu lubię.

Ale do tego chłopca uśmiechnąłem się nie z obowiązku. Przede wszystkim trudno było by uważać go za dziecko, bo miał na sobie mundur żołnierza, zielony mundur szeregowca, sprzeczący się z dziecinną twarzą. Chciało by się zapytać: "Pocoś ty się przebrał w ten mundur?"

Patrzałem w jego duże, szaroniebieskie oczy i nagle przyszło mi do głowy dziwne skojarzenie: z atlasem tkanym z dwubarwnych nitok. Patrzysz z jednej strony i widzisz czerwienią, a w fałdach zieleni; patrzysz z drugiej i widzisz wszystko zielone i gdzieś tam czerwone przebliski. Oczy tego chłopca mieniły się — dzieciństwem i dojrzałością: przez chwilę jaśniały słoneczną beztróską rozgranego malca, a nagle niewidzialny podmuch marszczył brwi i przesłaniał źrenice ciemną chmurą. W takiej chwili oczy zdawały się przeczyć chłopięcemu rysowi twarzy z czołem bez zmarszczek, z jasnymi kędziorami bujnej czupryny, z delikatnym nosem o zbyt małych nozdrzach, z niezakłóconą linią ust o drobnych, świeżych wargach; zdawały się należeć do innej istoty, starego, umęczonego człowieka, który nie potrafi zapomnieć niczego z przeżytych cierpień i wciąż się lęka.

Uśmiechnąłem się, nie jak do dziecka, lecz jak do kogoś bliskiego i drogiego, kogo znam i rozumiem. Nie — uśmiechem zamierzonym i świadomym, lecz mimowolnym, nie dającym się ukryć, serdecznym. Nie od razu odwzajemnił mi się: na chwilę dorosłe oczy osłoniły się zimnym pancernem obojętności, widać było, jak pod tym pancernem kłębił się niepokój i nieufność, niepewność i zakłopotanie. Aż nagle wszystkich blichtr dojrzałości pierchnął, jak popiół zdmuchnięty z żaru, i cała twarzyczka rozpromieniała się wesołym, ufnym a figlarnym, najszczerszym uśmiechem szczęśliwego dziecka.

Siedzieliśmy przy kominku w żołnierskiej świetlicy, półprzeoglądając stare tygodniki, półgrzejąc się przy ogniu. Cicho było w pokoju, tylko czasem ktoś gazetą zaszeleścił, lub przesunął figurę na szachownicy. Przez uchylone drzwi wsunęła się głowa, a potem cała postać młodego chłopaka, też w zielonym mundurze: — "Heniek, idziesz?"

Mój towarzysz zerwał się i już chciał biec, ale nagle zawahał się, spojrzął na ogień i powiedział: — "Jeszcze zostanie, dokończę to oglądać, idź sam".

Tamten znikł za drzwiami i zadudnił po schodach połączonym efektem żołnierskich butów i młodzieńczego temperamentu.

Henryś stał niezdecydowanie, z tygodnikiem w ręku, z oczyma utkwionymi w ogień. Można było wyczuć, że nie lektura zatrzymywała go tutaj, lecz ciepło i spokój otoczenia, urok spoczynku w dawno niesmakowanej wygodzie i bezpieczeństwie, nastrój cywilizowa-

nego wnętrza. — "Z Rosji?" — zapytałem półgłosem.

Wyprężył się i trzasnął obcasami, aż węgiel obruszył się na kominku:

— "Tak jest, panie kapitanie".
— "A potem w Palestynie?"
— "Tak jest, panie kapitanie".
— "Do lotnictwa?"

Jeszcze jedno: "tak jest, panie kapitanie" z akompaniamentem obcasów, ale już na tle obustronnego, przyjaznego uśmiechu.

Teraz chciałem zapytać o jego wiek. Ale jak to sformułować: ile macie lat? Tak, jak bym do młodszego brata mówił: słuchajcie, Henryku.

— "Ile masz lat?"

Przyjął to "masz" tak, jak by taka właśnie forma była jedynie właściwa i naturalna. Ale treść pytania stanowiła większy kłopot. Zacerwienił się, a ja uculem wstyd i żal, żem tak brutalnie wtargnął w jego słabość, prawdopodobnie najdotkliwszą.

— "Osiemnaście" — niepewnym głosem, bez obcasów i bez: "panie kapitanie".

Ośmka w tej osiemnastce wyglądała mi na znak zapytania.

— "Nie lżesz, Henryś".

Odzywał pewność siebie i uśmiechał się filuternie:

— "Teraz już nie, ale w Rosji, przy zapisywaniu się, to musiałem kłamać, bo by mnie inaczej nie przyjęli. Na komisji stawałem na palce i jakoś uwierzyli. Ale potem zaczęli się domyślać. Ja tylko mojemu drużynowemu pod największym sekretem zwierzyłem, ile mam lat naprawdę, no i porucznik jego wezwał na przesłuchanie, i kazał prawdę powiedzieć, i on powiedział. To porucznik mnie wezwał i mówi: wracaj do domu. Ale ja mu tłumaczyłem, prosiłem, prosiłem, no i uprosiłem".

Oczy dziecka jeszcze teraz, kiedy to wspominał, patrzyły tak prosząco, tak bezbronne, że łatwo było zrozumieć porucznika, który zgodził się mieć w oddziale czterynastoletniego żołnierza.

Henryś żołnierzem chciał być jeszcze w czasach, kiedy z dwoma starszymi braćmi i gromadą kolegów staczał bitwy w nowogrodzkiej lasach, uczestniczył w desantach na brzegi Świtezii, a podczas wakacji zimowych organizował manewry artyleryjskie — bombardowanie śnieżkami.

Był szczęśliwym dzieckiem w szczęśliwej rodzinie. Miał ojca żołnierza i chciał iść w jego ślady. Ojca właśnie, jako pierwszego spośród rodziny, odebrała mu wojna. Pierwsze Boże Narodzenie bez ojca. — "Popłakało się i przeszło".

Potem bracia wzięli narty i przekradli się na Litwę. Byli już w tym wieku, że lada chwila groziła im zsyłka na roboty. Henryś został sam z matką i ciotką. Był teraz jedynym mężczyzną w domu. Dwunastoletni mężczyzna.

Zaczął się wywożenie całych rodzin. Henryś planował ucieczkę na

Litwę dla wszystkich trojga. Ale jego kolega z matką, którzy próbowali się przekraść, wrócili z ciężkimi odmrożeniami. Postanowiono czekać wiosny. Tymczasem ktoś-rej nosy obudziło ich dobijanie się do drzwi. — "Tylko rewizja" — powiedział komisarz, a po przewróceniu wszystkich w domu do góry nogami oznajmił: — "Za dwie godziny wyjeżdżacie".

Podróż zaczęła się od dojazdu na stację wozami w zimną, wietrzną i dżdżystą noc. A potem jedenaście dni i nocy kolejają, w towarowym, nieopalanym, zatłoczonym wagonie. Raz na dzień wolno było otworzyć drzwi, żeby zaopatrzyć wagon w wiadro wody na następną dobę. W czasie podróży jedno z małych dzieci w wagonie umarło.

Henryś miał półkę przy zakratowanym okienku. Mógł przesiłgnąć się przez kraty na postoju. — "Mogłem uciec, ale matka". — I kiedy tym jednym słowem tłumaczył wszystko, to trudno było by osądzić, czy chodziło o to, że matka potrzebowała jego opieki i pomocy, czy więcej on potrzebował matczynego ciepła i serca.

Dojechali wreszcie na miejsce zesłania. Była to wioska, kilkadziesiąt lepianek z gliny, zagubionych w stepie pod Uralem. Niewola, nędza i praca. Ciężka praca. Na wiosnę kobiety i dzieci pomagały przy ogrodnictwie, w lesie przy sianokosach. Po żniwach było jeszcze ciężiej: Henryś przez cały dzień musiał odciągać worki ze zbożem w młockarni, worki cięższe niż on sam. Cały dzień o zgiętych krzyżu, w rozpaczyliwym wysiłku nierozwiniętych mięśni nóg i ramion, w zrywanym znużeniu całego, niedożywnego organizmu dziecka.

Na jesieni matce kazano iść do robót przy budowie drogi. Trzynastoletni mężczyzna poszedł do naczelnika kolchozu i oświadczył, że robota jest za ciężka dla jego matki i że on sam zgłosi się w zamian na wyznaczoną pracę.

Przydzielono mu parę, a później czwórkę wołów; tymi wołami orał, równał ziemię, woził żwir i kamienie. Niebezpieczna to była praca nawet dla dorosłego woźnicy. Często zdziczałe zwierzęta ponosiły, przewracając i ciągnąc za sobą wóz, lub nie chciały słuchać bata, trzymanego w zbyt słabej dłoni. Ileż razy trwoga śmiertelna chwylała go za gardło, gdy rozszalałe woły rwały na oślep przez step, ileż razy płakał bezsilnie, gdy nie mógł sobie dać rady z upartymi zwierzętami.

Przyszła zima długa i ciężka. W lepiance z gliny mroz srożył się, gdy ogień wygasiał, a opału było mało. Henryś nocami wykradał się po łożu nad rzekę, brodził w wodzie ze śniegiem, spotniały ze zmęczenia i strachu dźwigał opał do domu. Zazębiał się często, kaszlał ciągle, czasem kładł się z gorączką na kilka dni. Anioł Stróż chyba ostaniał ciepłymi skrzydłami bie-

dne, wzięte piersi i strzegł przed zapaleniem płuc lub gruźlicą.

Zimą kazano polskim dzieciom, a było ich kilkoro we wsi, chodzić do miejscowej szkoły. Henryś zaczął niechętnie, ale później postanowił wykorzystać sposobność uczenia się, choćby w tym zakresie. Skończył rok szkolny jako drugi uczeń w klasie, wśród pięćdziesięciu rówieśników.

Przyszł rok czterdziesty pierwszy: któregoś sierpniewego dnia naczelnik kolchozu wezwał wszystkich polskich osadników i powiedział im: "Kuda chcecie możecie ujeżdżać".

Dowiedzieli się również o formującej się armii polskiej. Henryś wiedział, że do wojska go nie przyjmą, ale liczył na znalezienie oddziału junaków. I pewnego ranka, zaopatrzony przez matkę i ciotkę w trochę żywności na drogę, opuścił wioskę.

Nie pytamy go, jak odbyło się pożegnanie z matką. Nie pytamy go, czy przewidywał w chwili pożegnania, na jak długo rozstaje się z nią, kiedy i gdzie ją odnajdzie.

Został teraz sam. Zupełnie sam. Rozpoczęła się tułaczka w poszukiwaniu tworzących się oddziałów armii polskiej. Władze rosyjskie nie wiele umiały pomóc, wskazywały coraz to inne miejsca, w których znów nie znajdował nic prócz pogłoski, że o trzysta czy czterysta kilometrów dalej jest jakiś polski obóz.

Spotykał wielu podobnych sobie chłopców, którzy błąkali się po niezmiernych przestrzeniach Rosji w postanowieniu wstąpienia do armii polskiej. Zebrali ich całą gromadę i zorganizowali w rodzaj oddziału, choć sam był najmłodszy ze wszystkich. Zbiorowo łatwiej im było podróżować i zaopatrywać się w żywność. Mieli też nadzieję, że łatwiej przyjmą ich do wojska, jako oddział: niby już trochę żołnierze.

Przypadek chciał, że w pierwszym napotkanym obozie polskim w komisji poborowej był lekarz, znajomy rodziców Henrysia: znał jego prawdziwy wiek i kazał mu wracać do matki. Więc Henryś musiał wędrować dalej, ale nie poszedł w nakazany kierunku. Próbował w następnym obozie i tu, z pomocą fałszywej daty na metryce, stawiana na palcach, a wreszcie próby ze łzami w dużych oczach, został przyjęty, jako — jakże dumny i szczęśliwy był z tego tytułu — goniec dywizjonu przeciwlotniczego.

Ale nowe kłopoty i udręki zaczęły się z chwilą, kiedy minęły stare: w obozie panował tyfus i biedny chłopiec żył w ciągłych obawach; wierzył, jak wierzy wielu z nas bez względu na wiek, że w ciężkiej chorobie tylko matczynej opieka jest skuteczna. Co dzień rano wdział, jak z izby chorych wynoszono trupy; i ten widok nie polepszał jego stanu duchowego. Na dobitkę zapadł na dyzenterię i tracił na wadze i na siłach z dnia

na dzień. Z porady kolegów zastosował taką kurację: przez dwa dni nie jadł nic, pijąc tylko zimną wodę w nieograniczonych ilościach, trzeciego dnia zjadł porcję suchej herbaty utartej z palonym chlebem. I znów chyba Anioł Stróż mieszał te leki, bo Henryś nie tylko nie umarł, ale pozbył się dyzenterii.

Wkrótce potem jednak przyszła żółtaczka. Z tą żółtaczką odbył kilkumilowy marsz do portu przez pustynne piaski, w spiekocie sierpniewego południa. Wielu dorosłych i zdrowych żołnierzy zostało zebranych z tego marszu przez ambulans; Henryś doszedł o własnej sile. O sile woli chyba, nie organizmu.

Ale to była już ostatnia próba. Wypłynęli z portu tego samego dnia. W Palestynie Henryś i jego rówieśnicy zostali odkomenderowani na ten front, który jedynie był odpowiedni dla chłopców w ich wieku — front nauki. W półtora roku Henryś przeszedł drugą, trzecią i czwartą klasę gimnazjum i zdobył cenne i piękne świadectwo — "małą maturę". Mając już dojrzałość udowodnioną czarno na białym, nie zwlekał z prośbą o przydział do lotnictwa, do personelu latającego. Został przyjęty i przyjechał do Anglii na szkolenie. Wkrótce zmienił zielony mundur na niebieski, tak dobrze pasujący do wielkich oczu o kolorze Bałtyku.

Patrzyłem w oczy, rozjaśnione zapamiętaniem przyszłego lotnika, rozmarzone najpiękniejszym ze snów — snem o locie. I czulem wzbierającą wiarę i ufność, że chlubnie i szczęśliwie wyśni się sen tego chłopca, który przez morze cierpień i góry trudów, wytrwale, odważnie i pogodnie idzie po skarb, którego wartości jeszcze nie zna, tylko przeczuwa. I czulem radość i zachwyt, na myśl, że serce tak czyste i jasne uskrzydli się i wzniesie ponad przyziemny tułaczki brudu i małości.

Henrysiu, bracie, mój skrzydlaty! Przed tobą droga długa i trudna, zanim posiadziesz tajemnicę latania, zanim dorównasz srebrzystym mewom, zanim każdy start będzie dla ciebie POWROTEM. W tej drodze jednak nie będziesz zdany na własne siły, wielu będzie ci pomagać swym doświadczeniem, chronić i prowadzić ku samodzielności.

Ale żaden instruktor nawigacji nie poradzi ci, jak nawigować w przestrzeni życia, aby trzymać się drogi, którą powinni iść szlachetni i dzielni. Ani żaden instruktor pilotażu nie nauczy cię wzlotów ducha, które cię uczynią wewnętrznie piękniejszym i bogatszym. Musisz sam być pilotem twojego serca: uchronić je od ześlizgów i upadków; zachować je czyste i młode. Nie wierz ludziom unurzonym w życiowym brudzie, skraksowanym wypędkom z pilotażu życiowego, że zmęczniesz to znaczy — zestarzeć się, że doświadczenie — to splugawienie ciała i duszy.

Tylko z sercem czystym i młodym, z sercem dziecka, potrafisz odnaleźć drogę ponad śnieżne szczyty chmur i tam, w błękitnie niepokalanym niebie, w osłepiającej jasności słonecznej zrozumiesz i odczujesz tajemnicę piękna i tajemnicę szczęścia.

GUSTAW NIERAD



DWA WIERSZE

TAJGA

Tajga... Wilgocią obrzękły mech,
i krzaki ukłękłe w moczarze...
Nie wiem za jaką zbrodnię i grzech
Bóg im tu rosnąć każe...

Nie wiem pod wagą jakich win
ci ludzie senni i szarzy,
z nad smugi świeżo kadzionych szyn,
nie wnoszą ziemistych twarzy...

Tuż obok, wparty w mokry chaszcz
ogienień rudo pelga...
... Gdzie nie gdzie jeszcze wojskowy płaszcz
i czapka — już bez orzelka...

Dym mija gnaty chudych pni
i brzożki podkurza nagie...
Dźwięczące — mętne — chciwe krwi
komary idą od bagien...

Trudno tu poznać: noc czy dzień
pełnie przez grząski moczar?
Noc się tu teraz nie wtacza w cień,
dniońm zato czarno w oczach...

Tajga... jak w bagnie gnijący trup...
Głusza na wieki wieków...

Otchłań, gdzie zda się — nawet Bóg
zapomniał o człowieku...

CELA

Cela — to nie jak w bajce: cisza i błysk
wysokiego w kratkach okienka...
Cela — to upał, wrzask i ścisł,
brak wody i stęchły pęczak...

Cela — to nie samotność, słoma, dzban
i szczura tętentą jedwabne...
Cela — to ciągła świadomość, że tam
szynel pod drzwiami i bagniet...

Nad lepkim zwałem śpiących na podłodze ciał,
w noc — której nie wolno być sobą...
osłepiający bąbel szłta:
żarówka tuż nad tobą...

I ta wątpliwa uczynność snów,
co cię podziemnym kanałem,
na parę godzin wypuszcza — by znów
lojalnie odstawić nad ranem...

I te uporem zwarte kły
i wola, jak pięść ściśnięta,
aby — na przekór tym z pod drzwi —
przetrzymać — i zapamiętać...

BEATA OBERTYŃSKA

Sprawy polskie w książkach angielskich

DZIENNIKARZ WŁOSKI O WOJNIE POLSKO-NIEMIECKIEJ

Znany dziennikarz włoski, korespondent agencji Stefani w Berlinie i w Moskwie, Filippo Bojano, w książce *"In the Wake of the Goose-Step"*, odmalowującej nastroje we Włoszech i w Niemczech w okresie faszyzmu i narodowego socjalizmu, poświęca nieco uwagi wojnie polsko-niemieckiej.

Bojano twierdzi, iż "Polska była całkowicie pewna, że nie tylko potrafi się oprzeć Niemcom, ale że może odnieść zwycięstwo... Jest rzeczą niezrozumiałą, jakim sposobem rządzący Polską padli ofiarą podobnej ślepoty. W Warszawie mówili zupełnie otwarcie, że być może, w niedalekiej przyszłości kawaleria polska będzie zwycięsko deflowała przez Bramę Brandenburską". Polski sztab główny utrzymywał, że panuje przesadne wyobrażenie o zbrojeniach niemieckich. Tego rodzaju fałszywa opinia jest tym więcej zastanawiająca — dodaje Bojano — że ambasador polski w Berlinie Lipski był człowiekiem inteligentnym i że miał sytuację, która powinna mu być ułatwiona do zdobycia dokładnych wiadomości o istotnym stanie rzeczy: "Przez dłuższy czas był stałym gościem Goebbelsa i niezmiennie zjawiał się na każdej demonstracji nazistowskiej".

Obie zresztą strony myliły się w swoich przewidywaniach: Hitler przypuszczał, że "dumny opór", jakim Polska odpowiadała na jego wyzwania, da się przelamać przy pomocy pogroźek; Polska była przekonana, że Hitler bluffuje; Wielka Brytania i Francja liczyły, że Polska będzie się broniła przez pół roku. Jedynie stolice małych państw zdawały sobie sprawę z rzeczywistości.

"Dn. 29 sierpnia rano przyszła wiadomość że gabinet polski zarządził powszechną mobilizację. Polska nie traciła czasu. W tej chwili dywizje polskie strzegły granic, a na lotniskach w korytarzu siły powietrzne Śmigłego-Rydza trzymały samoloty, gotowe do wzbicia się w niebo nad Prusami".

O przebiegu wojny Bojano ma niewiele do powiedzenia. Notuje, że "wkroczenie Rosji było wypadkiem, którego naród niemiecki nie mógł pojąć. Dn. 17 września kawaleria rosyjska załaziła Wołyń, aby szybciej wykończyć Polskę. Dokonywał się

* *In the Wake of the Goose-Step, by Filippo Bojano. Translated from the Italian by Gerard Griffin. Londyn, Cassell, 1944; str. 141 i 1nl.*

proces wcielania w życie paktu rosyjsko-niemieckiego".

Z polecenia agencji Stefani, Bojano udał się do płonącej jeszcze Warszawy, "pierwszego miasta umęczonego w czasie obecnej wojny": "Hitler rzucił się na Warszawę z dzikością zbrodniarza. tylko dlatego że oparła mu się bohaterka i dlatego, że na terytoriach zagarniętych Polacy na najazd niemiecki odpowiedzieli dokonaniem swoich franciszkańskich".

"Biedna Polska — woła Bojano — która myślała, że zniszczenie Niemiec będzie tak łatwe jak rozupanie orzecha... Wielu moich znajomych zginęło pod ruinami Warszawy, wielu z moich kolegów padło broniąc dzielnie swego kraju". Ale i w Niemczech żniwo śmierci było obfite: na ostatniej stronie dzienników czerniły się niezliczone nekrologi. Do zginecia Polski Hitler użył 70 pełnych dywizji i potężnej siły powietrznej.

SPADOCHRONIARZE POLSCY POD ARNHEM

W książce wybitnego uczestnika wyprawy brytyjskiej dywizji spadochronowej pod Arnhem*, znajdujemy kilka wzmianek o polskiej brygadzie spadochronowej, która rzucano na lewy brzeg Renu z odsieczą.

Pierwsze nawiązanie łączności nastąpiło dn. 20 września, kiedy jednostki polskie wywalczyły sobie drogę przez rzekę i zajęły pozycje w trzech domach przy ulicy, gdzie

* *Arnhem Lift. Diary of a Glider Pilot. Londyn, Pilot Press, 1945; str. 96.*

znajdował się autor. Podnosi on, że Polacy "brali wojnę bardzo poważnie" — rozwinęli wielką czujność i każdy, kto zbliżał się do obsadzonych przez nich linii, musiał mieć się na baczności.

Droga kpt. Z, por. X i autora, którzy mieli zdać sprawę ze swych czynności w brytyjskiej kwaterze głównej, prowadziła koło stanowisk Polaków. Anglicy szli z ostentacją, rozmawiając głośno, pewni, że Polacy zrozumieją, iż nie mają do czynienia z nieprzyjacielem. Ale wkrótce zatrzymała ich placówka polska na odległości yarła: nie pomogli wyjaśnienia, znaleźli się w obliczu wymierzonego karabinu, położenie stawało się krytyczne, na szczęście zjawili się polski oficer, który wyjaśnił nieporozumienie. Nauczani doświadczeniem, Anglicy zaczęli podążać przewodnika; porozumiewał się on ze swymi rodakami w okopach i na posterunkach w tak głośny sposób, że kilkakrotnie oficerowie myśleli o interwencji, by zapobiec przelewowi krwi. W rzeczywistości, były to tylko "przyjacielskie pogwarki" pomiędzy morowymi chłopakami.

W czasie jednej z wypraw przewodnik polski załamał się i nie mógł wydobyć głosu w odpowiedzi na wezwanie polskiej placówki: po prostu "ogłuchł i oniemiał". W końcu autor i towarzysze popchnęli go w stronę posterunku: "Był to wielki sukces... rzucili się sobie w ramiona i zaczęli szczebiotać, jak dwie pensjonarki, a my udałmy się do najbliższego domu, pozostawiając szczęśliwą parę".

Dn. 24 września, kiedy autor wraz z kilku kolegami opuszczali okopy,

z pobliskiego domu padła salwa i jeden z nich uległ postrzałowi w rękę. Po odprowadzeniu rannego, Anglicy udali się do domu, który jak się okazało zajmowali Polacy. "Jakiś żołnierz — pisze autor — podszedł do mnie, mówiąc gorączkowo. Miał lzy w oczach... chciał się dowiedzieć, czy zabił lub też zranił kogoś poważnie, i doznał ogromnej ulgi, kiedy się dowiedział, że wszystkie cztery kule poszły w rękę jednego tylko człowieka. Wyjaśnił, że myślał, iż Niemcy dostali się do okopów, a kiedy na wezwanie nikt nie odpowiedział, oddał kilka wystrzałów".

RABUNEK DZIEŁ SZTUKI W POLSCE

Autor, ukrywający się pod pseudonimem George Mihan, w książce *"Looted Treasure"* daje obraz grabieży dzieł sztuki, dokonanej przez Niemców w czasie obecnej wojny. Najobszerniejszy i dobrze ilustrowany rozdział poświęcił Polsce (*"Thorough Work in Poland"*).

Mimo wieloletniej niewoli — pisze Mihan — Polska czyniła wszystko, co mogła, dla swego rozwoju kulturalnego, osiagając w niektórych dziedzinach, jak malarstwo czy literatura, wysoki poziom. Po odzyskaniu bytu niepodległego przystąpiono energicznie do wyrównywania zaległości. Ale od r. 1939 Niemcy w okupowanym kraju zaczęli systematycznie niszczyć wszystko, by udowo-

* *Looted Treasure. Germany's Raid on Art. By George Mihan. With 37 illustrations. Translated by Harry C. Schnur. Cover design by W. A. Burton. Londyn, Alliance Press, 1945; str. 93 i 1nl. i 2nl.*

dziła swoją tezę, że nie ma polskiej kultury, a jeżeli jakakolwiek kultura istnieje, Polska zawdzięcza ją Niemcom. Celem założonego przez Niemców w Krakowie *"Institut für Deutsche Ostarbeit"* była z jednej strony grabież, z drugiej — reestracja wpływów kultury niemieckiej w Polsce. W rozgromionym kościele św. Michała w Poznaniu stworzono t.zw. *"Buchsammelstelle"*, gromadzącą książki i rękopisy z całej Polski. Cenniejsze dzieła przekazywano bibliotekom niemieckim, ale liczne wartościowe druki polskie odesłano do fabryk w celu przeróbki na papier.

W czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. pastwa ognia lub pocisków padło wiele gmachów, kościołów i bibliotek, jak Biblioteka Przedziękich, Centralna Biblioteka Wojskowa, archiwum ministerstwa oświecenia, zbiory rapperswilskie, część Biblioteki Zamoyskich, dział rękopisów Biblioteki Krasieńskich. Według dzienników niemieckich, artyleria — stosownie do otrzymanego polecenia — ze szczególną zaciętością ostrzeliwała zamek królewski. Po zdobyciu Warszawy, kominki marmurowe i parkiety z zamku wyrzucono na dziedziniec, gdzie deszcz i zimno dokonały ostatecznego zniszczenia, obrazy Canaletta, rzeźby, obicia, meble i dywany rozgrabiono; część ofiarowano wyższemu urzędnikom niemieckim w Krakowie, część zabrała Gestapo, część sprzedano antykwariuszom.

Kompletne pogromu kultury polskiej dokonano w Poznańskim, konfiskując Bibliotekę Raczyńskich i Działyńskich, przekształcając kościoły na kina lub składy, niszcząc zapasy książek polskich.

"Hauptverwaltung der Bibliotheken" w Krakowie zacierala ślady po dawnych bibliotekach polskich, tworząc niemieckie biblioteki państwowe i rabując przy okazji bezcenne *incunabula* /najstarsze druki/ i rękopisy iluminowane /ręczne zdobione/. Z Muzeum Czartoryskich ukradziono najpiękniejsze obrazy, jak "Portret kobiety z jasica" Leonarda da Vinci, "Portret młodzieńca" Rafaela, "Pejzaż" Rembrandta, z kościoła Mariackiego — otarż Wita Stwosza, z kościoła św. Floriana — cykl malowideł Kulmbacha.

Odzyskanie wszystkich zrabowanych dzieł sztuki będzie rzeczą trudną, jeżeli nie niemożliwą — zaznacza Mihan. Dopóki to nie nastąpi, Niemcy będą musiały dać w zastaw szereg dzieł sztuki i druków ze swoich muzeów i bibliotek.

SCRUTATOR

Ką c k j ę z y k o w y

— Proszę o wyjaśnienie: 1/ kiedy używać który, a kiedy jaki? /M.W., P/75/.

Który i jaki są zaimkami przymiotnikowymi względnie — pytajmy. Gdy zapytam: który? otrzymam odpowiedź: ten, tamten, ów, pierwszy, dziesiąty. Gdy zapytam: jaki?, otrzymam odpowiedź: taki, dobry, zły, maly, duży i t.d.

To użycie pytań odzwierciedla się w zastosowaniu względnie. Który, jako zaimek względny, łączy następujące zdanie z właściwym rzeczownikiem zdania poprzedniego, n.p.: ten żołnierz, który tu był... Książki, o której Pan wspomina, nie czytałem. Punkt trzeci, którym zajmujemy się kolei, jest...

Jaki jako zaimek względny odnosi się do własności, do cechy, a więc do przymiotnika, n.p.: Zagadnienia najtrudniejsze, jakimi dotąd nie mogliśmy się zajmować... Na takie rozwiązanie sprawy, jakie Pan proponuje, nie możemy się zgodzić /ale: na to rozwiązanie sprawy, które Pan proponuje, nie możemy się zgodzić/.

A oto zdanie, wybrane z tekstu znanego autora, gdzie różnica w użyciu słów który i jaki występuje bardzo wyraźnie: "Pojawia się podróżnik, który odbywa podróż wspaniałą, daleką i fantastyczną, podróż, jakiej nikt, oprócz Kolumba może, nie odbył dotąd — podróż w głąb duszy ludzkiej".

/Por. A.B./ Na czym polega bu-

dowa t.zw. "białego wiersza" i czy ewentualnie można by go określić jako wiersz nierymowany, jednak o zachowaniu pewnym rytmem.

— Podane przez Pana Porucznika określenie "białego wiersza" jest trafne. Białym wierszem umiał posługiwać się po mistrzowsku Słowacki. Dla ilustracji podajemy krótki fragment dramatu "Lilla Weneda":

W niezawieszanej przychodzę koszułi, Nie niosę chleba, nie nam nic przy sobie, Lecz wy mnie puszcio do ojca mego. Który od dwóch dni jest mrozony głodem. Ja go zobaczył chce tylko przed śmiercią, Jam go nie mogła zbać — więc pożegnam.

Dlatego głowę ubrałam w lilije, W to wodne kwiaty, które u nas kładną Dziewicom zmarłym na ostygle czola.

FUNDUSZ IM GEN. TADEUSZA BORA-KOMOROWSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze, Otwierając listę na fundusz imienia Naczelnego Wodza Gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego jesteśmy przekonani, że nawet w czasach najbardziej okrutnych — a takimi są czasy obecne — znajdują się ludzie, którzy byłby bardzo radzi, gdyby im się udało ulżyć niedoli braci żołnierzy z Armii Krajowej, będących obecnie w niewoli u naszych odwiecznych wrogów.

Triumf Armii Krajowej na terenie Warszawy był śledzony przez wszystkich Polaków na świecie i przez cały cywilizowany świat. Heroizm Armii Krajowej zdumiał największych mężów tego świata. Było to dzieło precyzyjnie obmyślane przez Wodza Armii Krajowej Gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego.

My wszyscy, całe nasze społeczeństwo, całe nasze pokolenie zachowa najwyższą cześć, najwyższe uznanie heroizmu A.K. w sercach i w umysłach. Pozostanie ono żywe na wieczne czasy.

Wiemy dobrze, że krzyżowe są drogi naszej sprawy.

Naszego żołnierza droga jest prosta i niezawodna. Żołnierz idąc po tej drodze, krok za krokiem zbliża się do wyzwolenia Ojczyzny, do Rzeczypospolitej wolnej, suwerennej, niepodległej, wielkiej poświęceniem swych najwierniejszych synów i duchem niezłomnym Narodu Polskiego, Żołnierz polski nie szcedząc krwi i ofiar, daje w ręce swemu prawowitemu Rządowi wszystko, co dać może dla obrony interesów Rzeczypospolitej i co dać może dla ratowania braci żołnierzy A.K.

Nasza dyscyplina i nasza spoiwość moralna oraz solidarność ideowa, została umocniona i musi być ochraniać i zachowana, jako skarb narodowy bezcenny i niezbędny w obliczu niebezpieczeństwa. Dowodem naszej spoiwości niech będzie też zrozumienie inicjatywy Kola Brzeżańczyków p.n. "Fundusz im. Gen. Bora-Komorowskiego".

Plan i cel, jakimuz Fundusz ten ma służyć:

- 1/ niesienie materialnej i moralnej pomocy żołnierzom Wojska Polskiego, będącym poza Armią i w niewoli,
 - 2/ niesienie materialnej i moralnej pomocy członkom rodzin Armii Krajowej i W.P., gdziekolwiek się oni znajdują i pomocy tej potrzebują.
- Proponuje się zorganizowanie stałej Sekcji Funduszu imienia Naczelnego

nego Wodza Gen. Bora-Komorowskiego przy Sztabie N.W. w Londynie, której zadaniem byłoby: rozwinięcie szerokiej akcji propagandowej, prowadzenie ewidencji ofiarodawców.

Sekcja Funduszu im. Gen. Bora-Komorowskiego Tadeusza została by zorganizowana z pośród ofiarodawców.

Za Tymczasowy Zarząd Kola Brzeżańczyków Florian Stawinski 5.III.1945 r.

LIST Z FRANCJI

Szanowny Panie Redaktorze! Dziękuję serdecznie za list i zapowiedź wysłania numerów pisma. Każda wieść od Was jest nam pociechą i radością. Nie ma takiej siły na świecie, która by nas mogła pokonać. Piszcie to jako syn powstańca z 1863 roku. Posyłam Panu przy okazji wiersz i łączę wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia.

DROGA NIEUSTRASZONYCH Nie wiem, w jakiej krainie spocznie moja głowa I czy w marmurze będzie, czy też w bronzie ryta.

Czyli w pustyni spleklej w dziki dół rzucona — I zeschlom liściem pokryta?

Wiem tylko, że mi ręka Boża nakazała: Iść przez życie i walczyć za głosem sumienia. A żadnej, jaka była, jest, i jaka będzie Męki nie straszać się cienia.

Józef Mondschein /Challes-les-Eaux, Savoie, France/

PRZYKŁAD DO NAŚLADOWANIA

Szanowny Panie Redaktorze! Czytając wielokrotnie w "Polsce

Skrzynka pocztowa

Poradnik żołnierski

Szer. W. z W — k. Honorowa odznaka za rany nie przysługuje, o ile rana nie została odniesiona w akcji bojowej w czynnej służbie w Polskich Siłach Zbrojnych.

P. Albin B. O ile Pan już posiada wszystkie potrzebne dokumenty, sprawą wprowadzenia żony z Afryki do W. Brytanii może się zająć firma Cook. Koszt sprowadzenia żony wyniesie około £80.

Porucznik M. Do wszystkich szpitali władze wojskowe wysyłają "Polskę Walczącą" i "Dziennik Polski" bezpłatnie. O ile kolega Pana Porucznika nie otrzymuje gazet, proszę się w tej sprawie zwrócić wprost do Wydziału Dobrobytu Żołnierza, Biura Opieki nad Żołnierzem, Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1. Jeśli Pan pośle koleżce parę książek polskich do czytania, na pewno będą mile widziane, skorzystają z nich na pewno i inni ranni polscy żołnierze. Angielskich książek posyłać nie widzę potrzeby, bo każdy szpital posiada własną bibliotekę do użytku rannych.

Szer. M. W. O ile po wyleczeniu zostanie Pan zwolniony z wojska na skutek utraty zdolności fizycznej i będzie Pan wysłany przez Ministerstwo Pracy

i Opieki Społecznej do Brytyjskich Ośrodków Szkoleniowych dla zdobycia zawodu, będzie Pan korzystał z takich samych świadczeń, co i byli żołnierze brytyjsey. Świadczenia w tym wypadku wynoszą od £2. 10.0 — £3.5.0 tygodniowo plus dodatek Polskiego Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, z którym razem może Pan otrzymać £4.14.0 tygodniowo, niezależnie od ewentualnego zapotrzenia inwalidzkiego.

Kanonier Antoni K. Piszcie Pan, że "ponieważ ręce są zdrowe, chciałoby się coś zrobić, by skrócić dłuższy się okres pobytu z szpitalu". Nie wiem co Pana interesuje w zakresie "majsterkowania" i w jakim kierunku ma Pan zdolności. Niektóre szpitale brytyjskie posiadają różnego rodzaju warsztaty ułatwiający chorem, czy rannym oddawanie się ulubionym hobby /praca rozrywkowa/. Radzę najpierw porozmawiać w tej sprawie z siostrą, która się Wami opiekuje. O ile nie da się zrobić na miejscu, proszę napisać do Polskiego Czerwonego Krzyża /adres: 34, Belgrave Square, London, S.W.1/, który z urzędu zajmuje się między innymi i dostarczaniem rannym żołnierzom materiałów i narzędzi. W liście swoim do P.C.K. proszę dokładnie wymienić, co Pana interesuje i co chciałby Pan otrzymać. Mam nadzieję, że o ile to tylko będzie możliwe ze względów technicznych, otrzyma Pan wszystko to, o co Pan

prosi. Życzę szybkiego powrotu do zdrowia.

Sprawa potrąceń za oficerskie sorty mundurowe. — Po uzyskaniu miarodajnych informacji, na pytanie Pana w tej sprawie wyjaśnięmy co następuje:

Sorty mundurowe /battle-dress/ wydawane oficerom, nie obciążają "Lease and Lend". Należności za te sorty, potrącając oficerom z ich poborów, względnie wpłacane przez nich gotówką, są przekazywane do skarbu brytyjskiego. W zasadzie oficerowie płacą za te sorty, ponieważ otrzymują dodatek na umundurowanie. Mają jedynie te ulgi, że nie potrzebują dawać kuponów odzieżowych za zakupione na tej drodze "battle-dressy". Oficerom, otrzymującym zmniejszone pobory, potrąca się z tych poborów każdorazowo tylko 5 procent należności za sorty mundurowe, pobrane ze składow wojskowych.

Kan. M.O. Informacje Pana o wyjeździe do Kanady są niestety nieciele. Wyjazd do Kanady jest możliwy na razie jedynie dla tych, którzy wstąpili do Wojska Polskiego w Kanadzie. Nie widzę możliwości, by nie będąc ochotnikiem z Kanady mógł Pan wyjechać przed zakończeniem wojny. Radzę zwrócić się o bliższe informacje do Konsulatu Generalnego R.P. /adres: 63, Portland Place, Londyn/.

Walcząc" o warunkach, w jakich uczą się dzieci w Afryce, chciałbym im przestać kilka książek. Książki te przestałbym, ale nie mam adresu. Wobec tego proszę o przysłanie mi adresu jednej lub dwu szkół. Z poważaniem

Stanisław Ługowski

LIST ANGIELKI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze! Uprzejmie proszę o przysłanie tych dwóch książek ogłoszonych w dzisiejszym numerze "Polski Walcząc": "Warsaw was a beautiful City" by Karol Zbyszewski 3/6; "The Big Five" by George Michael 2/6.

Zalącam czek na 9/- więcej trzy pensy dla poczty. Chcę przenieść znowu na sześć miesięcy na koniec marca, ponieważ ogromnie mnie interesuje to pismo. Mam głęboko na sercu wszystko co się tyczy spraw polskich, i dobrze można uczyć się o Polsce i Polakach od niego.

Mam nadzieję, że pojedę do Polski po wojnie, gdzie mogłabym być pożyteczna. Zawsze mam największą przyjemność spotkać Polaków wszędzie, i kiedyś spodziewam się osobście Pana pozdrawiać w Londynie. Łączę wyrazy wysokiego szacunku

Miss E. Risley-Hutt

Clifton Place Hotel, Sidmouth, S. Devon.

SPROSTOWANIE PODPISU POD FOTOGRAFIA

Szanowna Redakcjo! Tylko parę słów chcę do Was napisać i przypuszczam, że nie zabiorę Wam dużo czasu, którego Wam widocznie brakuje.

Parę tygodni temu zamieściliście zdjęcie rozbitego Shermana p.t. "Nieprzyjacielski rozbity czołg". Myślałem, że to tylko drukarska omyłka, no ale piękny tytuł: "Polskie czołgi na stanowisku obserwacyjnym i t.d." — to jeszcze większa wpadka, bo zdjęcie przedstawia niemieckie działo na podwoziu "Pantery", co niniejszym prostuję. Z poważaniem

Władysław Wilenski

P.S. Opis zdjęcia, o którym mowa w liście, jest dokładnie powtórzone za opisem Agencji Fotograficznej Keystone. Dziękujemy za sprostowanie i przekazamy Czytelników za tę mimowolną pomyłkę.

NA POMOC RANNYM ŻOŁNIERZOM I PUŁKU PANCERNEGO

Zalążam £10, które przekazuję za moim pośrednictwem ppor. br. panc. inż. Edward Hr., przebywający obecnie w Stanach Zj. A.P., celem "zadysponowania nimi w taki sposób, aby ulżyć i przynieść pociechę rannym oficerom i żołnierzom 1 p.panc. i szwadronu dowodzenia", w którym ostatnio pełnił on służbę. Podaje P.T. Redakcji sugestie b. D-cy Brygady Pancernej płk. dypl. T.M., aby kwotę tę przekazać Mrs. M. E. Monair, "The Garth", Blairgowrie, Perthshire z zaznaczeniem przeznaczenia.

Pani M. E. Monair od dłuższego czasu roztacza opiekę nad żołnierzami 1 p.panc. przebywającymi w szpitalach, inwalidami i t.p.

Powierzenie jej kwoty przekazanej przez ppor. Hr. w najbardziej skutecznym sposobie zapewni najbardziej dotarcie pomocy do właściwych adresatów.

O.W. ppłk.

Pieniądze zostały przekazane na ręce p. M. E. Monair.

NA DZIECI POLSKIE W INDIACH

£1 przesyła

T. Maciejewski

DLA RANNYCH PRZEZ P.C.K.

W załączeniu przesyłam "Postal Order" na kwotę £3 sh.5 d.8 jako dobrowolne składki złożone przez Uczniów Szkoły Podchorążych Broni Pancernej na fundusz społeczny Polskiego Czerwonego Krzyża na rzecz rannych żołnierzy polskich.

Proszę o przekazanie tej kwoty Zarządowi P.C.K.

Komendant Szkoły Podchorążych
R. major

NA "PACZKI OD SERCA"

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £3.12.0 wpłaconą przez oficerów składnicy sanitarnej na jeńców ze służby zdrowia pozostających w niewoli niemieckiej.

Mgr. J.Z.

Na pomoc Warszawie: £3,048

W załączeniu przesyłam "Money Order" na kwotę £25 /dwadzieścia pięć funtów/, którą Oficerowie, Podoficerowie i Ulani Pułku Jazłowieckiego złożyli w ciągu miesiąca lutego b.r. na "Fundusz Pomocy Warszawskiej".

II. Z-ca D-cy pułku
W.M. rotmistrz

Składka oficerów S.P.P. na rzecz "Warszawy" za miesiąc marzec 1945: £26.18.0.

Proszę przyjąć załączony P.O. na sh.10 na fundusz pomocy Warszawie.
K. Kozicka

Dear Sir,
Will you please accept this sum of £2, which we have collected for the distressed people of Warsaw?
With it we send our very best wishes and hopes that the Warsaw Fund will go on increasing rapidly.

Class II a, Sincil Bank Senior
Boys' School, Lincoln

Proszę uprzejmie przyjąć czek na £5 na pomoc Warszawie.

/Mrs./ E. R. Russell

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £60.8.0 /słownie: sześćdziesiąt funtów i osiem szylingów/ przekazałmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,048.3.7 /trzy tysiące czterdzieści osiem funtów, trzy szylingi i siedem pensów/.

NA "BŁĘKITNY FUNDUSZ"

W załączeniu przesyłamy przekaz pocztowy na kwotę £1 na "Błękitny Fundusz" — dla rannych Armii Krajowej.

B.B.C.

Proszę o przyjęcie sh.2 na "Fundusz Błękitny".

Łączę wyrazy głębokiego szacunku
A.K.

NA FUNDUSZ IM. GEN. TA-DEUSZA BORA-KOMOROWSKIEGO

P. Florian Stawiński wpłacił £1 /jeden funt/ stosownie do uchwały Koła Brzeżańczyków.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

W załączeniu przesyłam banknot £1, który otrzymałem na Fundusz ratowania dzieci od p. Jean Caupar z notatką:

"I have the pleasure to enclose £1 note for the Polish Children Rescue Fund".

Jean Caupar.

W.J.P.

Dear Sir,
I have much pleasure in enclosing cheque value £20.5.0 being proceeds from a private Whist Drive held in aid of the Polish Children's Rescue Fund.

Yours faithfully,

Edith Wilcox /Mrs./

NA FUNDUSZ WDÓW I SIEROT PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14-ej WLKP. DYW. PIECH.

W załączeniu przesyłam P.O. na sumę £1.10.0, z przeznaczeniem na Fundusz pomocy dla wdów i sierot po poległych żołnierzach 14-ej Wlkp. Dyw. Piech.

Wielkopolanin

KOMUNIKAT MINISTERSTWA W.R. I O.P.

Ministerstwo WR. i OP. zamierza uruchomić w początkach maja b.r. Szkołę Rolniczą przy West of Scotland College of Agriculture w Glasgowie. Czas trwania nauki /1 rok/ będzie podzielony na 2 Kursa teoretyczne po 3 miesiące każdy: I Kurs od maja do lipca b.r., II Kurs od stycznia do marca 1946 r. Okres między dwoma Kursami będzie przeznaczony na zorganizowane praktyki rolne.

Część lekcji z przedmiotów zawodowych będzie prowadzona w języku angielskim przez profesorów West

of Scotland College of Agriculture. Na wszystkich lekcjach, prowadzonych w języku angielskim, będzie obecny polski instruktor — tłumacz. Zajęcia praktyczne w czasie nauki teoretycznej będą prowadzone na Stacji Doświadczalnej West of Scotland College of Agriculture.

Warunki przyjęcia:
1/ ukończenie 6 klas Szkoły Powszechnej, 2/ 2-letnia praktyka rolnicza, 3/ ukończony 20-ty a nie przekroczony 30-ty rok życia, 4/ conajmniej mierne opanowanie języka angielskiego, ze względu na lekcje pro-

wadzone w jęz. angielskim, oraz ze względu na zajęcia praktyczne i praktykę, 5/ egzamin sprawdzający z przedmiotów ogólnokształcących, 6/ nienaganna opinia.

Inwalidzi W.P., zdolni do pracy na roli mają pierwszeństwo.

Podania o przyjęcie do szkoły należy nadsyłać najpóźniej do dnia 31 marca b.r. pod adresem Kierownika Szkoły: inż. Henryk Przyborowski — 31, St. Vincent Crescent, Glasgow.

Do podania należy załączyć własnoręcznie napisany życiorys.

PODZIĘKOWANIE

Dowództwu P.A.M. 1 Dyw. Panc. za inicjatywę i wypozyczenie biblioteki, stanowiącej własność Pułku, dla rannych i chorych kolegów, przebywających w szpitalach w Szkocji. Składa serdeczne podziękowanie Sekcja Szpitalna przy Delegaturze P.C.K. w Edynburgu

OD WYDAWNICTWA

Administracja "Polski Walczącej" zawiadamia, że wskutek całkowitego wyczerpania nakładu nie jest niestety, w stanie uwzględnić nowych zgłoszeń P.P. Abonentów pisma. W razie uzyskania od władz brytyjskich pozwolenia na zwiększenie nakładu, o co usilnie zabiegamy, nowi P.P. Abonenci będą uwzględniani w kolejności zgłoszeń.

ADMINISTRACJA

BIURO GŁÓWNE

POLSKIEJ Y.M.C.A. W LONDYNIE

mieści się obecnie /od 16 bm./

przy

61, EATON PLACE, S.W.1.

AUTENTYCZNE

Gdzieś w Szkocji "przyjeń" się do farmy jeden z naszych żołnierzy, zwolniony z wojska. Polak w krótkim czasie przekształcił dom szkocki — na polski! Usunął szkockie kominki a na ich miejsce wprowadził polskie piece...

Szkoci podziwiali polski dom, zachwycali się kafłowymi piecami, oszczędnością zużycia węgla, temperaturą i czystością...

W rok później Polak umiera. Po pogrzebie zjawiają się Szkoci. Odbywa się rada rodzinna i uchwała:

Ponieważ nieboszczyk nie wyraził życzenia w testamentie, że piece mają pozostać — wobec tego zmieniny je na kominki...

KOMUNIKATY

Po sukcesach alianckich na froncie zachodnim, Hitlerowi już zmiękła Ruhra...

PRZYSŁOWIA POLSKIE

SILNA I NIEPODLEGŁA

"Polska bez swej połowy, bez Lwowa i Wilna, Lecz będzie Niepodległa, będzie Wolna, Silna, a woli Jej narodu uczyni się żadość!"

— OBIECANKI CACANKI, A GLUPIEMU RADOŚĆ...

O MISTRZACH

Hitler napadł na Polskę. Rozbójnicza era. Zniszczyć chciał Polaków siepacze Hitlera. Dziś kto inny to robi, w pośpiechu swym raczy. — NIE TEN MISTRZ CO ZACZYNA. ALE TEN — KTO KOŃCZY.

Or-Si

ŹRÓDŁO INFORMACJI

—Co słycać? — zapytuje rodak rodaka.
—Nic nie wiem... Już od miesiąca nie grałem w bridge'a...

USPRAWIEDLIWIENIE

Anglicy pytają jeńca niemieckiego: —Dlaczego ostrzeliwujecie niewinną ludność Londynu?
—My!!! Broń Boże!!! My tylko chcemy trafić w willę Hessa...

DOBRE SERCA...

Polak: — Hitler i Mussolini powinni być sadzeni!!!
Anglik: — Nie podzielam pańskiego zdania. Jeżeli już mają stać, to tylko przed sądem ostatecznym...

Tekst i rysunki: TONY

WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

U NASZYCH KOMANDOSÓW



Szef: — Mówiłem wam, że macie sobie wysmarować gębę a nie zaciąć się...

PRAWIE AUTENTYCZNE

—Gdzie się pan osiedlił po wojnie? pyta Szkot Polaka.
—W Londynie!
—W Londynie??? My Szkoci nie zgodzimy się na to. Pan jeszcze nie zna Anglików — my możemy coś na ich temat powiedzieć...

OBAWA

—Pan wraca do Kraju?
—Boję się — nie chcę siedzieć w kryminalu...
—Pan??? A za co?
—Chyba za bigamię...

DOBRY ELEKTROTECHNIK

Do jednego z obozów w Szkocji przybywa autor kącika "Werinajsek" z "Żywym Dziennikiem".
—Jaki macie tutaj prąd? — zapytuje jednego z żołnierzy.
—Ujdzie!
—Ale ja się pytam czy stały czy zmienny?
—I taki i taki — stale się psuje...

ZORIENTOWAŁ SIĘ...

Ulicą Edynburgha przechodzi kapral. Udaje, że nie widzi przechodzącego kapitana. Oficer zatrzymuje żołnierza:
—Nie wiecie co mi się należy?
—Stopień majora, panie kapitanie...

NIEMAL AUTENTYCZNE...

Gdzieś w Szkocji tworzy się zespół rewiowy. Brakuje tylko harmonisty. Wreszcie jest i harmonista-muzyk!
—Panie majorze, błagam na wszystkie świętości o przydzielenie nam strzelca M.
—Wykluczone! Mam mały stan. On jest niezbędny. Co pan myśli, że ja sam będę gońcem?!
—W to miejsce damy innego!
—Jeżeli tak, to dwu! Ktoś musi palić w piecach!
—Stoi!
—Jeszcze nie stoi! Muszę też dostać piłkę nożną...
—Dobrze, tylko już nie drużynie footballową...

RZECZY CIEKAWY, ZABAWNE I POZYTECZNE

Czy wiecie...
1/ Skąd się bierze symbol /?/ na znak zapytania?
2/ Co znaczy francuskie słowo "hors d'œuvre"? Czy oznacza bezrobocie? A jeśli nie to co znaczy "bezrobocie" po francusku?
3/ Kto to jest Zeta Puppis?
4/ Dlaczego wieloryb nie jest rybą?
5/ Który z marszałków Napoleona zatrzymał po upadku cesarza Francuzów tron, na którym został przezeń osadzony?
6/ Co to jest kamień filozoficzny? /Odpowiedzi znajdują się na końcu tego kącika/
Odpowiedzi:
1/ Podobno z łacińskiego słowa *Questio* — pytanie, którego pierwszą i ostatnią literę ustawiono jedną nad drugą. /Q/
2/ *Hors d'œuvre* oznacza zakąski,

nie bezrobocie. Bezrobocie po francusku jest *chômage*.

3/ Zeta Puppis nie jest *кто* lecz *co*. Jest to gwiazda i to nawet nie filmowa, lecz niebieska. Zeta oznacza gwiazdę a Puppis /po łacinie: rufa okrętu/ konstelację.

4/ Wieloryb jest ssakiem. Jest zwierzęciem ciepłokrwistym, oddycha powietrzem, rodzi młode oraz karmi je własnym mlekiem. Ryby natomiast są zimnokrwiste, oddychają wciągając wodę przez oskrzela i przeważnie składają jajeczka /ikre/, chociaż niektóre ryby także rodzą swe młode.

5/ Bernadotte, król Szwecji i Norwegii. Jego potomkowie rządzą po dziś dzień Szwecją.

6/ Średniowieczni alchemicy wierzyli, że jest to kamień, który potrafi przemienić zwykły metal w złoto. /d/

MONOMARK SERVICE

PERMANENT LONDON ADDRESS
LETTERS REDIRECTED AT ONCE TO
ENGLISH OR OVERSEAS ADDRESSES
5/- p.a. Royal Patronage
Write to:
MONOMARK BM/MONO 51, London, W.C.1

SPIS RZECZY:

Józef Winiewicz: Koniec widowiska. — Aleksander Boray: Przegląd tygodniowy. — Z tygodnia na tydzień. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — List Sir Patricia Dollana. — Maciej Feldhuzen: Bedziemy nadal Dywizją Pancerną /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Andrzej Stocker: Jeniec holenderski opowiada o Polsce. — Ryszard Krygier: Gen. MacArthur wraca na Filipiny /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Gustaw Nierad: Henryś będzie lotnikiem. — Beata Obertyńska: Dwa wiersze /Cela. Tajga./ — Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich. — Kącik językowy. — Poradnik żołnierski. — Skrzynka pocztowa. — Na pomoc Warszawie. — Na Polish Children Rescue Fund. — Na "paczki od serca". — Tomy: Werinajsek. — Fotografie.

ORBIS (London) CO.

dawniej M. I. KOLIN (Publishers) Ltd.

KSIEGARNIE POLSKIE

w LONDYNIE: 9, NEW OXFORD STREET, W.C.1.

Tel.: HOL 0868

w Edynburgu: 31a, CASTLE STREET.

Tel.: 24705

posiadają na składzie wszelkie polskie nowości wydawnicze, książki angielskie dotyczące zagadnień polskich, nuty, podręczniki szkolne oraz dzienniki i czasopisma polskie.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6 d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

BE TALLER!

INCHES PUT YOU MILES AHEAD!

Increased my own height to 6ft. 3 3/4 ins.

CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances—No Tablets—
No Dieting

Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete
Details 6d. stamp

MALCOLM R. ROSS
Height Specialists,
BM/Hyte, London, W.C.1